

famiasto

48. festiwal fama 48th fama festival



Nina Pańiewska
Siedem minut w zawieszeniu

Joanna Hała
I żeby pozostały ślady

Julia Nowak
Reżyseria absurdu

Torpeda Ludu
Teksty uczestników sekcji literackiej

organizator

akademickie biuro
kultury i sztuki
ALMA-ART

współorganizatorzy



dofinansowanie

Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego



Dofinansowano ze środków Ministra Kultury
i Dziedzictwa narodowego. PO Muzyka.

partnerzy



współpraca medialna



partnerzy projektu ZAPROŚ FAMĘ DO SIEBIE



Naczelna:

Monika Stopczyk

Ilustracja i projekt okładki:

Kaja i Piotr Depta-Kleśta

Opracowanie graficzne i skład:

Piotr Świtula

Korekta i redakcja

Monika Mielcarek

Sekcja dziennikarska:

Joanna Hała, Julia Nowak, Dawid Panic,
Nina Paśniewska, Mateusz Purcel,
Witold Regulski, Milena Soporowska

Sekcja literacka:

Łukasz z Bałut, Agnieszka Horodyska, Mateusz Marek,
Dawid Panic, Nina Paśniewska, Jan Kanty Zienko

www.fama.org.pl

www.facebook.com/famiasto

www.instagram.com/famiasto

Spis Treści

04
Fama Fashion –
moda na eko-

07
I żeby pozostały
ślad

09
Musimy wciąż iść do
przodu

11
Reżyseria
absurdu

14
Siedem minut
w zawieszeniu

16
Wieczna przyjaźń

20
EABS: Znaleźć
swoją tożsamość

23
Ch(w)ać

26
Hymny o młodości

29
3 x KOBIEТА

34
Sztuce trzeba
pomagać

38
Zróbmy sobie spektakl

40
Torpeda Ludu

Z redakcją i korektą tekstów pomogła nam w tym roku Monika Mielcarek
red-kor.pl

Dziękujemy!

 red-kor



Fama Fashion – moda na eko-

Milena Soporowska

Czy ktoś z Was wie, co to są „trumniaki”? To przerabiane chałupniczo białe tenisówki, które odpowiednio wycinano i farbowano na kolor czarny, tak by przypominały popularne w latach 50. i 60. dziewczęce balerinki. Barbara Hoff, jedna z najbardziej znanych w PRL-u polskich projektantek, na łamach „Przekroju” zachęcała do twórczych, domowych przeróbek. Na tegorocznej Fami debiutuje zaś projekt Fama Fashion dwóch związanych z festiwałem dziewczyn: Pameli Mączyńskiej i Malwiny Bil. Fama Fashion, w erze sieciówek, reanimuje starą szkołę szycia, przy okazji promując ekomodę z recyklingu.

Pamela i Malwina poznały się, gdy studiowały wzornictwo w Radomiu. Obie wcześniej zaczęły interesować się szyciem. Uczyły się z gazet, z nieśmiertelnej „Burdy”, z podręczników. Każda z nich chciała połączyć swoje życie zawodowe z twórczą pasją: Malwina pracuje obecnie przy konstrukcji i projektowaniu obuwia, Pamela marzy o własnej pracowni. Na Fami są już piąty raz, wcześniej pracowały jako „plakaciary”, pomagając w promowaniu festiwalu.



Malwina Bil, fot. Milena Soporowska

W trakcie Famy spotkacie je w ich butikiu na słynnym Oflagu – to tu mieści się również biuro festiwalowe, tu też zakwaterowani są uczestnicy. W butikiu można zaopatrzyć się w festiwalowe pamiątki: koszulki, torby, maskotki. Wszystko wykonane z materiałów z recyklingu. Do stworzenia unikalnych suvenirów posłużyły stare obrusy, zasłony, ciuchy z second-handu...

Na plaży, w Beach Bar Pauza, dziewczyny mają natomiast swoją pracownię, w której starają się zarazić innych pasją do domowych przeróbek. Można razem z nimi uszyć maskotkę, przynieść własne ciuchy do zmodyfikowania – chodzi o stworzenie przestrzeni do kolektywnej pracy, no i oczywiście przy okazji nawiązanie nowych znajomości.

Cały dochód ze sprzedaży pamiątek przeznaczony jest na rzecz schroniska dla bezdomnych zwierząt w Świnoujściu. Wystarczy 10 złotych, by zyskać niepowtarzalną pamiątkę z niezapomnianego festiwalu. Jeśli chcesz wesprzeć zwierzaki większą kwotą, nie ma problemu. Projekt doskonale łączy możliwość artystycznego wyżycia się z celem charytatywnym – dzięki Fama Fashion możemy pomóc tym, którzy sami sobie pomóc nie mogą.

Milena Soporowska: Kiedy zaczęła się Wasza przygoda z szyciem?

Pamela Mączyńska: Ja zaczęłam szyc jako dziecko. Natomiast pierwszą rzeczą, którą tak na serio uszyłam, była kamizelka. Miałam wtedy 18–19 lat. Pracowałam nad nią parę miesięcy, ciągle coś do niej doszywałam, ulepszałam. Mój tata śmiał się, że po takim czasie musi być warta parę tysięcy złotych.

Malwina Bil: Ja zaczęłam szyc na studiach. Pierwszymi „poważnymi” rzeczami, które uszyłam, były tunika i spodnie.

Lumpeksy kojarzą się często z osobami, których na kupowanie ubrań ze sklepów po prostu nie stać. Jak przekonałybyście osobę, która nie przepada za taką formą zakupów, do buszowania w ciucholandach?

M.B.: Chodzi głównie o kwestię unikatowości. Teraz są miliony sieciówek, każdy chodzi w tym samym. Coraz trudniej wyglądać inaczej niż wszyscy. W lumpeksach można znaleźć ubrania, których próżno szukać w zwykłych sklepach.

P.M.: Zawsze można małym kosztem sprawić sobie rzecz oryginalną, która wygląda na drogą. Albo zrobić z nią coś ciekawego. Sukienka, która kosztowała złotówkę, może – dzięki różnym modyfikacjom – wydawać się ekskluzywna.

M.B.: Kiedyś to był wstyd – chodzić do szmateksu. Obecnie sytuacja się zmienia. Teraz super autami przyjeżdżają do lumpów zrobione od stóp do głów „gwiazdy” i nurkują w górach ubrań – to już nie jest takie wstydlive.

P.M.: Teraz jest większa moda na modę z lumpeksu.

No właśnie: z jednej strony nadal wiele osób nie kupuje w ciucholandach, z drugiej – powstaje coraz więcej drogiej tak zwanych vintage shopów z odzieżą wyselekcjonowaną.

M.B.: Coraz więcej ludzi chodzi do second-handów. Wiele osób przekonuje się do mody z odzysku. Wiele zależy od tego, co wpaja ci rodzina. Co innego, kiedy rodzice dają ci do zrozumienia, że takie second-handy są złe, że chodzą do nich sami biedacy.

P.M.: A niektórzy widzą w tym po prostu dobry biznes. Ludzie kupują niekoniecznie dla siebie, ale szukają markowej odzieży i potem sprzedają ją za o wiele wyższą cenę we wspomnianych vintage shopach. W mniejszych miejscowościach można znaleźć mnóstwo świetnych ciuchów, bo ludzie po prostu nie znają się na modzie.

Ubrania, które powstawały 20–30 lat temu, istnieją do dzisiaj. Teraz rzeczy z sieciówek są właściwie jednorazowego użytku. Pięć prań i po ciuchu. Kiedyś odzież była robiona porządnie, sama do dziś mam rzeczy mojej mamy.



Pamela Mączyńska, fot. Milena Soporowska

Lumpeksy to też doskonałe źródło rzeczy *no-logo* – nawet nie wiadomo, jaka to firma. To także może być zaleta. Takie ubrania mają ducha czasu. Warto je ratować.

Pokolenie naszych rodziców, dorastające w PRL-u, kiedy trudno było zaopatrzyć się w podstawowe produkty, a co dopiero w modne ubrania, często ma niechętny stosunek do second-handów. Wychodzą z założenia, że mając dostęp do tylu sklepów, nie ma sensu kupować używanych ubrań. A jakie podejście do lumpeksów mają Wasi rodzice?

P.M.: Chodzę z mamą na zakupy do lumków. Nie trzeba było jej do tego przekonywać, właściwie to ona zabrała mnie po raz pierwszy do szmateksu, nauczyła takiego „grzebania”. Czasem szuka „rzeczy z metką”, bo żyła w czasach, kiedy jak rzucili coś z Niemiec, to był szaf – nie było po prostu wielkiego wyboru. Ale nie jest też tak, że skupia się na metkach. Dla niej to jest po prostu chwilami niepojęte, że można znaleźć coś markowego za tak niską cenę.

M.B.: Ze starszymi siostrami od lat jeździłam do ciuchacza. Miałam 10 lat i już wtedy zaczęłam przebierać ubrania. Mama jeździła razem z nami i jeździ nadal.

Córki mojej siostry chodzą ze swoją mamą do lumka i same wybierają mnóstwo rzeczy. Te ciuchy są często dobrej jakości, nie są zniszczone. Chodzi po prostu o to, czy jakaś rzecz jest ciekawa, fajnie wygląda, a niekoniecznie o to, skąd jest.

P.M.: Teraz w szkole chyba ważniejsze są rzeczy – nowy telefon, nowe buty nike. Najistotniejsze znaczenie ma jednak wychowanie dzieci, od tego zależy, jaki mają stosunek do kupowania, do przedmiotów.

Ubrania w lumpeksach nie tylko kupujecie, często je też przerabiacie.

P.M.: Często dostawało się rzeczy po starszym rodzeństwie i samo ich przerabianie wychodziło naturalnie – coś tam się skracano, doszywało, zmieniało. To jest po prostu ekonomiczne. W rodzinach, w których się nie przelewa, taki recykling wychodził spontanicznie.

A co byście powiedziały osobom, które często za argument przeciwko noszeniu rzeczy po kimś podają ich niehigieniczność? Z drugiej strony nie mają problemu z pójściem na pchli targ i kupieniem kubka czy łyżki.

M.B.: Z jednej strony w ubraniu z lumka ktoś chodził potencjalnie wiele razy, ale z drugiej – idziesz do sieciówki, bierzesz rzecz, którą ktoś prawdopodobnie wielokrotnie przymierzył, i od razu wrzucasz do szafki, bez prania. Wiele rzeczy jest utyłanych, brudnych, a raczej to ludzi nie odstrasza. To wszystko kwestia percepcji, zmiany myślenia, do której też chcemy naszym projektem doprowadzić.

Czy planujecie rozwijać jakoś Fama Fashion?

P.M.: Gdyby była taka możliwość, to jasne.

M.B.: Być może jakoś ten projekt ulepszymy, coś dodamy. Jesteśmy jak najbardziej chętne do tego, by Fama Fashion rozwijać.



I żeby pozostały ślady

Joanna Hała

„Miejsca, których pamięć nie otacza troską, umierają. Dziwaczej i dziczej, porośnięte zielskiem zapomnienia” – pisze Monika Sznajderman w *Falszerych pieprzu. Historii rodzinnej*. I chyba właśnie z tego powodu współcześni polscy prozaicy i reportażyści rozdrapują rany i wracają do trudnych wątków, które nie pozwalają na osiągnięcie wewnętrznego spokoju.

Tematyka „miejsca” przeżywa w literaturze swój renesans – półki księgarskie uginają się od publikacji związanych z konkretnymi miastami, metropoliami czy wręcz całym krajami. Rynek przepelniony jest biografiami miast, reportażami dotyczącymi rozmaitych przestrzeni na mapie świata. Coraz częściej jednak polscy wydawcy decydują się na publikacje na temat naszego kraju. Liczba ujęć tej problematyki jest ogromna – od satyryczno-pesymistycznych utworów, jak *Polska* Marcina Świetlickiego, do reportaży o małych, zapomnianych miejscowościach, jak *Miedzianka* Filipa Springera. Popularnością cieszą się książki Marcina Kąckiego, który w ostatnich latach opisał Poznań i Białystok. Dostrzega się również powrót do historii z czasów PRL – po latach wyjaśnia się kłamstwa wynikające z fałszowania informacji przez ówczesny aparat władzy lub wraca do ważnych wątków historycznych. Pisze się o ludziach, którzy znaleźli się w złym miejscu w nieodpowiednim czasie. Jednostkowe biografie często są przekazem uniwersalnych prawd związanych ze społeczeństwem. Pisarze i reportażyści zazwyczaj zagląдают za firanki mieszczkańskich okien, grzebią w archiwach sądowych i dbają o rozgłos wątków, które celowo i z premedytacją zostały kiedyś skazane na zapomnienie.

Miejsce literatury: Fama

Podczas tegorocznej Famy można zauważyć, że organizatorzy cyklu literackiego „Miejsca literatury” kierowali się jasnym kluczem wyboru autorów. W swoich publikacjach przypominają oni o nieprzyjemnych i trudnych miejscach w historii, biografii indywidualnych bohaterów czy naszej tożsamości narodowej. Poruszają wątki wykluczenia na tle pochodzenia, kłamstwa, wykorzenienia, obojętności czy bezdomności duchowej. Tym razem motyw przewodni to „Złe miejsce”.

Zaproszeni do Świnoujścia autorzy w ostatnich latach napisali jedno z najgłośniejszych powieści i reportaży dostępnych na polskim rynku wydawniczym i konsekwentnie nie pozwalają, aby ważne i bolesne tematy ulegały zapomnieniu. Piszą w związku z tym o trudnych, niepożądanych miejscach w historii i przypominają jednostkowe biografie.

Podczas paneli dyskusyjnych i warsztatów można było spotkać właścicielkę Wydawnictwa Czarnego Monikę Sznajderman, a także: laureata nagrody Nike Cezarego Łazarewicza, specjalizującą się w kulturze codzienności PRL Aleksandrę Boćkowską, Jarosława Kamińskiego, laureata „Paszpor-

tu Polityki” w kategorii literatura Ziemowita Szczerka i dwukrotną laureatkę Grand Press Ewę Winnicką.

Było takie miejsce: PRL

Kraina zwana Polską przed '89 rokiem pokoleniu demokracji, Instagrama i nieograniczonego dostępu do świata przypomina miejsce z legendy. Kojarzy się z pełnymi nostalgii opowieściami rodziców o pomarańczach, których wciąż brakowało, i długimi kolejkami w sklepach. Ostatnie publikacje reportażowe wrywają nas jednak z tego bezpiecznego klimatu rodzinnych historii i przenoszą nas do tego miejsca w czasie, pozwalając na przyjrzenie się tragediom indywidualnym i zbiorowym. Autorzy, choćby Cezary Łazarewicz w *Żeby nie było śladów. Sprawa Grzegorza Przemyska*, przypominają i wyjaśniają kreowane przez władzę kłamstwa, a także za pomocą fikcji snują refleksje o tym, w jaki sposób wydarzenia historyczne mogły wpłynąć na indywidualne historie Polaków. Przykładem tego drugiego ujęcia jest *Tylko Lola* Jarosława Kamińskiego, która porusza wątek czystki antysemitkiej z '68 roku.

Literatura zaproszonych do Świnoujścia autorów nie skupia się jednak tylko na rozrachunkach z przeszłością. Tytuł książki Aleksandry Boćkowskiej – *Księżyc z peweksu. O luksusie z PRL* – brzmi jak żart, gdy mówimy o czasie, w którym na półkach sklepowych stał tylko ocet. Z jej podróży i rozmów przeprowadzonych w całej Polsce powstał jednakże tekst o miejscu zawieszenia, w którym znaleźli się Polacy przed rokiem '89. Dla jednych luksusem był papier toaletowy, dla innych – nieograniczona władza.

Ślady w pamięci

„Czy nie byłoby lepiej, w każdym razie dla naszej psychicznej równowagi, pozostawić niektórych spraw w spokoju i przykryć ich milczeniem? Czy nie byłoby mądrzej tę lub

inną osobę zostawić w łaskawym (albo też zawstydzającym) zapomnieniu?” – pyta na początku *Falszerzy pieprzu* Monika Sznajderman, podejmująca temat trudnej relacji polsko-żydowskiej. Tropiąc prawdę o swojej rodzinie, prowadzi walkę z obojętnością i nie tylko chroni od zapomnienia życiorysy bliskich jej ludzi, ale też tworzy „biografię zapomnienia” konkretnych miejsc – w tym wypadku Radomia. Autorka pokazuje, że przed wojną w Radomiu mieszkało prawie 25 tysięcy Żydów. Dwa lata po wojnie zostało ich tylko 300. Ocalały za to ich meble, domy, zamieszkiwane przez nich przestrzenie, które w rzeczywistości po 1945 roku stały się miejscem dla nowych lokatorów. Z fotografii, dokumentów i archiwów gromadzi dane pozwalające jej ukazać prawdę o swojej rodzinie, a w głębszym znaczeniu – naszym społeczeństwie z XX wieku.

Dlaczego?

Ewa Winnicka, która przeprowadziła warsztat dla sekcji dziennikarskiej i literackiej, zostawia w swoich utworach ślad po współczesnych Polakach. Mimo że jakiś czas temu napisała książkę na temat rodaków mieszkających w Anglii, na spotkaniu literackim opowiadała o swojej najnowszej publikacji. *Był sobie chłopczyk* to historia o błędach systemu i zachowaniach społeczeństwa, które wciąż budzą nasze zdziwienie. Jak mogło dojść do sytuacji, w której małe, anonimowe dziecko zostaje pogrzebane, a jego rodzice nie mogą się odnaleźć? Dlaczego rodzina, w której został wychowany chłopiec, mogła pozwolić na jego zniknięcie bez wiedzy władzy?

Tegoroczna literacka edycja Famy, pomimo nadmorskiego klimatu, nie była wakacyjna i odprężająca... Zaproszeni autorzy i ich teksty nie pozwalały na spokojne położenie się na plaży i przyjemną lekturę przy soundtracku z krzyku mew. Organizatorzy postawili przed festiwalowiczami wyzwania

nie. Swoimi wyborami kuratorskimi wydają się mówić, że odkrywanie „miejsc złych” i pytanie „dlaczego?” powinny być częścią naszej codzienności, ponieważ dzięki mierzeniu się z tematami nieprzyjemnymi jesteśmy w stanie skonstruować swoją tożsamość – indywidualną, rodzinną i zbiorową. Jak pokazują omawiane na panelach

publikacje, w XXI wieku wciąż ważny jest powrót do historii i spraw przemilczanych. Chociażby po to, żeby można było uniknąć pewnych sytuacji – zamordowania dwulatka, tabu w historiach rodzinnych czy wiary w historie, które kiedyś serwowała społeczeństwu propaganda.

Musimy wciąż iść do przodu

Monika Stopczyk

Co roku, w sierpniu, Świnoujście gości młodych artystów, którzy przybywają do miasta, by podzielić się z odbiorcami swoją twórczością, przeżyć przygodę i zwiedzić malowniczo położony kurort. O jego przyszłości i świnoujskiej gościnności rozmawiamy z Prezydentem Miasta Januszem Żmurkiewiczem.

Monika Stopczyk: W tym roku Świnoujście po raz 48. gości uczestników Festiwalu Fama. Przez 10 dni młodzi artyści z całego kraju prezentują swoją twórczość mieszkańcom i turystom. Wyobraża Pan sobie sezon wakacyjny w Świnoujściu bez Famy?

Janusz Żmurkiewicz: Oczywiście, że nie. Fama to impreza, wydarzenie, które przez te wszystkie lata wpisało się w historię naszego miasta.

Miasto wspiera festiwal organizacyjnie i finansowo, a Fama dla wielu artystów młodego pokolenia staje się punktem zwrotnym w karierze, ważnym momentem; daje inspiracje i impuls do działania. Jak to



Fot. UM Świnoujście

wygląda z punktu widzenia gospodarza nadmorskiego kurortu – dlaczego warto angażować się w takie przedsięwzięcia?

W zasadzie to w Pani pytaniu jest już odpowiedź. Właśnie ze względu na młodych,

zdolnych ludzi, którym Fama daje możliwość nie tylko pokazania się, ale właśnie inspirację, impuls do rozwoju swojego talentu, do rozwinięcia artystycznych skrzydeł. Tu mają możliwość uczenia się od najlepszych, co też skrzętnie wykorzystują. Wystarczy wspomnieć świetnego kompozytora, laureata nagrody Grammy, Włodka Pawlika czy doskonałego grafika i plastyka (niestety niedawno zmarłego) Wojciecha Müllera. Jak bardzo wartościowa jest Fama dla młodych wykonawców, artystów, świadczą nazwiska tych, którzy właśnie tu, w Świnoujściu, rozpoczęli swoją karierę: Marek Grechuta, Maryla Rodowicz, Magda Umer, Renata Przemyk, Henryk Sawka, Andrzej Mleczko, Jan Wołek, Adam Nowak z zespołem Raz, Dwa, Trzy i wielu, wielu innych. Niektórzy wracali potem na Famę, by już jako jej wykładowcy dzielić się z młodszymi swoim doświadczeniem, umiejętnościami.

Te wszystkie lata obecności Famy w naszym mieście potwierdzają tylko, że Świnoujście jest otwarte na młodych ludzi. Jako świnoujścianin cieszę się, że co roku młodzi, zdolni przyjeżdżają właśnie do Świnoujścia. Choć pamiętam, że jakiś czas temu był pomysł przeniesienia Famy do innej nadmorskiej miejscowości. Spalił na panewce! Bo czy ktoś potrafi wyobrazić sobie Świnoujście bez Famy, a uczestnicy tego wydarzenia Famę bez Świnoujścia?

Z roku na rok zauważamy kolejne zmiany, jakie zachodzą w Świnoujściu. Inwestycje, modernizacje, miasto w ciągu ostatnich lat wyraźnie się zmieniło. Jakie są w tej chwili główne przedsięwzięcia zaplanowane do realizacji? Czym miasto zaskoczy swoich gości za rok?

To prawda, Świnoujście się zmienia. Mamy stabilne finanse, rosnące wpływy do budżetu miasta. Możemy sobie pozwolić

na inwestowanie w rozwój Świnoujścia. Zresztą inwestowanie uważam za konieczność. Musimy iść do przodu. Inwestować we wszystkie sfery życia; począwszy od inwestycji budowlanych, po te w ludzi, mieszkańców Świnoujścia. Dlatego też nie tylko stawiamy nowe obiekty (boiska, place zabaw, drugi stadion na Warszawie, nowe miejskie przedszkole, zwiększamy ilość miejsc w żłobkach, zaczynamy budować nowy basen miejski, inwestujemy w ekologiczną komunikację miejską), modernizujemy nasze ulice, ale wspomagamy również naszych seniorów, realizujemy Budżet Obywatelski, aby angażować mieszkańców w ten rozwój. Zmieniamy także naszą dzielnicę nadmorską. Aktualnie trwa budowa Promenady Zdrowia, a lada moment rozpocznie się modernizacja tak zwanej starej promenady. To tak w dużym skrócie, bo o inwestycjach i rozwoju Świnoujścia moglibyśmy jeszcze długo rozmawiać

Oczywiście największą inwestycją będzie budowa tunelu, który połączy wyspy Wolin i Uznam. Wierzę, że we wrześniu miasto podpisze umowę z wykonawcą i za cztery lata uczestnicy 52. Famy przyjadą do Świnoujścia już tunelem.

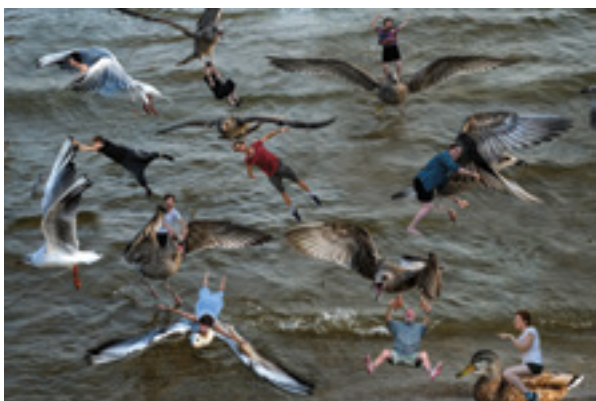
Przed Famą rozpoczęto działania związane z rewitalizacją hali stoczniowej w Basenie Północnym, która gości część tegorocznych festiwalowych wydarzeń. Jakie są plany na zagospodarowanie tego miejsca? Czy docelowo ma ono na co dzień służyć mieszkańcom miasta?

Ma służyć wszystkim, zarówno mieszkańcom, jak i gościom naszego miasta. Chcielibyśmy, aby było to miejsce, które przyciągnie młodych ludzi; będzie ich przestrzenią na koncerty i wszelkiego rodzaju wydarzenia kulturalne, artystyczne.

Reżyseria absurdu

Julia Nowak

Bosy mężczyzna z małym aparatem na pasku, przewieszonym przez ramię, lawiruje między zasiekami z parawanów i polami minowymi ręcznikowych legowisk. Siwe loki podskakują przy każdym jego kroku – wygląda jak połączenie kreskówkowego naukowca, wagabundy i ilustracji słowa *dobrodusznosc* w książce dla dzieci. Normalnie zwracałby na siebie uwagę, ale nie na Famie.



Fot. Tomek Sikora

Potem ludzie dostrzegają sunącą za nim grupę i to już trochę ich rozprasza, bo ci z kolei przypominają niedobitki po eksplozji w pracowni malarskiej. Jak dym za starszym panem ciągną postacie w kolorowych marynarkach. Twarze mają pokryte farbą, brokatem i maziemi wątpliwego pochodzenia. Wszystko to splywa z nich razem z morską wodą, przywodząc na myśl podtopiony cyrk.

Tak pamiętam sekcję fotograficzną z ubiegłorocznej edycji festiwalu. W tym roku zapewne będzie podobnie, chociaż – z drugiej strony – trudno przewidzieć cokolwiek, gdy ma się na myśli współpracę z Tomkiem Sikorą. Fakt, że 47 poprzednich edycji Famy przyzwyczało świnoujskie społeczeństwo do rozmaitych ekscentryzmów, nie osła-

bia powszechnego zainteresowania, które wzbudza proces twórczy tej sekcji. I gdyby ktoś chciał pośmiać się, pooglądać lub przeprowadzić eksperyment behawioralny na podstawie podobnych ekscesów, to w tym roku będzie mu jeszcze prościej niż w poprzednim. Fotografowie będą bowiem gorszyć ludzi obserwujących ich poczynania w miejscach nie tylko publicznych, ale też znanych i popularnych.

Temat tegorocznej wystawy przygotowanej przez uczestników sekcji fotograficznej brzmi „Nie-pocztówka”. Założenie jest dość proste: chodzi o zaaranżowanie niecodziennych sytuacji w dobrze znanych i charakterystycznych lokalizacjach Świnoujścia. Prowadzący sekcji sam cel projektu opisuje następująco:

Tomek Sikora: Pomysł był taki, żeby zaoferować miastu 12 zdjęć miejsc charakterystycznych dla Świnoujścia, ale sfotografowanych przez uczestników Famy. Czyli w sposób nieoczywisty, nie-pocztówkowy, bo te wszystkie miejsca są już obfotografowane: prom, Plac Wolności, muszla koncertowa etc. Być może miasto chciałoby wykorzystać to jako kalendarz. Stąd też pomysł, żeby znaleźć rozwiązanie, które nie będzie ograniczało fantazji ludzi. Myślę, że pomysł fotografowania sy-

tuacji kompletnie „od czapy”, absurdalnej, w miejscu, które jest znane i uważane za ładne, może dać znakomity efekt, a w żaden sposób nie ogranicza fotografów, którzy wymyślają jakąś koncepcję. Wręcz mam wrażenie, że wpływa to pozytywnie na ich myślenie o absurdzie.

*Słowo *absurd* ma kluczowe znaczenie w fotografii kreatywnej, szczególnie gdy przyjrzymy się zajęciom prowadzonym przez Tomka. Nie wiadomo, czego się spodziewać – każdy taki projekt zakłada wyrwanie z osobistej strefy komfortu zarówno fotografa, jak i modela. I bywa, że jest to dla obu stron duże zaskoczenie, bo jesteśmy przyzwyczajeni do konceptu zdjęcia jako ilustracji. Nasz wujek jedzie na wakacje, a my potem przez trzy godziny oglądamy jego spaloną słońcem twarz na tle Bardzo-Ważnego-Zabytku-Którego-Nazwy-Nie-Pamięta. Albo myślimy o zboczach egzotycznej góry w promieniach świtu na okładce „National Geographic”. To są obrazki, które pojawiają się w naszych umysłach na hasło *fotografia*; czasami pojawiają się one również u osób fotografujących. Na pytanie, czy dla niektórych uczestników nie jest to niewygodna zmiana, Tomek wzrusza ramionami.

T.S.: Przecież oni wiedzą, po co jadą. Wysyłany jest list z zadaniami do wykonania. Określam, co będziemy robić, co chcemy zrobić, że spróbujemy rozbudzić w sobie malarskie umiejętności. We wszystkich warsztatach, które prowadzę, i zwracam na to ogromną uwagę, staram się, by fotograf był również modelem, bo wtedy zdaje sobie sprawę, w jakiej sytuacji są ludzie fotografowani. Oczywiście, fotografia kreatywna może być niekomfortowa, ale jeśli ktoś chce się rozwijać, kocha fotografię, to zanim zacznie się specjalizować w jakimkolwiek kierunku, powinien poznać wszystkie aspekty: reporterski, kreatywny, z którym wiąże się portretowanie, które z kolei przekłada się na zdjęcia użytko-

we, jak mody czy reklamowe. Warto to chociaż liznąć. Zawsze staram się rzucać ludzi na głęboką wodę – i oni sobie świetnie radzą! Jestem też zawsze dostępny dla każdego, kto ma pytania lub chciałby porozmawiać o fotografii, po to tu siedzę.

*Żeby nie ograniczać się jedynie do opinii profesjonalistów, spytałam o zdanie Pawła, który na Famę przybył po raz trzeci. Wiedział więc, czego się spodziewać, ale jako że od roku studiuje fotografię, mógł mieć coś do powiedzenia na temat ewentualnej wyższości fotografii dokumentalnej nad kreatywną.

Paweł Krzysztof Kasprzak: Nie uważam, że któryś z tych typów jest „wyższy”. Czuję się lepiej w fotografii kreatywnej, bo lubię inscenizować rzeczy, które siedzą mi w głowie, próbować je oddawać za sprawą fotografii. Można zrobić taki hardy surrealizm. To jest spoko, bo dzięki temu aspektowi zasysania rzeczywistości przez migawkę aparatu jest to dosyć realistyczne, ale jednocześnie... jak by to ubrać w słowa... To nie jest tak jak z malarstwem, nie tworzysz wszystkiego od nowa, nie musisz skupiać się na czynieniu rzeczy realistycznymi z tych odrealnionych. Działasz w drugą stronę. Z rzeczy realnych stwarzasz odrealnione. Wolę działać na bazie tego, co rzeczywiste, a potem to przetwarzać, niż odwrotnie. Poza tym jestem „projektowy”, lubię poprzedzać prace szkicami albo chociaż wyznaczać jakieś słowa-klucze, tworzyć mapy myśli. Nakreślam sens i cel tej całości.

*Skoro padło już słowo o malarstwie, zboczymy na chwilę z podziałów wewnętrznych na fotografię jako dziedzinę sztuki w ujęciu ogólnym. W obecnym świecie fotografem może nazwać się każdy – zapisujemy własne życia w formie obrazkowej na Instagramie, robimy zdjęcia wszystkim, wszędzie i wysyłamy je wszystkim. Nie trzeba nawet inwestować w dobry apa-

rat, teraz to kwestia telefonu z przyzwoitą rozdzielczością i wprawno oka. Dlatego też zdaniem niektórych fotografia nie jest „równą” sztuką – nie potrzeba trzyletnich studiów, jak na przykład w wypadku malarstwa, żeby stworzyć coś, co będzie się przyjemnie oglądać. Fotografiami mogą zostać wszyscy. A w każdym razie tak powiedziałam Pawłowi, bo skończył szkołę plastyczną i miał okazję obcować z bardziej tradycyjnymi formami sztuki.

P.K.K.: Tutaj dochodzimy do momentu, który jest bardzo absurdalny. To znaczy: jeżeli ktoś tworzy coś w określonej formie, i to na pierwszy rzut oka wydaje się banalne dla kogoś, kto się na tym absolutnie nie zna, to ta osoba będzie żyła w przeświadczeniu, że to **jest** banalne. Mamy na przykład instalacje artystyczne Hasiora i rzeźby Michała Anioła. Jak sobie wystawimy te dwie rzeczy, to są one skrajnie różne, mimo że obie są rzeźbami. Hasior tworzył instalacje z gotowych przedmiotów, potrafił wykorzystać te wszystkie śmieci, działał na innej materii. Michał Anioł wybierał sobie konkretny kawałek marmuru. I działało to podobnie; różnica tkwiła tylko w formie doprowadzania tego do stanu ostatecznego. Używali innej materii, innych tworzyw, ale służyły one temu samemu celowi i wykorzystywane były zgodnie ze swoim potencjałem. Hasior z kawałka blachy, dętki i koła do roweru nie miałby jak wyrzeźbić greckiego boga, ale mógł zrobić coś innego, coś, co siedziało mu w głowie. To, że coś wygląda na proste, nie znaczy, że takie jest. To kwestia zaznajomienia się z medium. Jeżeli ktoś zda sobie sprawę, że fotografia **nie jest** prosta technicznie, będzie wiedział, że fotografia nie jest prosta technicznie, bo to nie tylko kwestia sprzętu, ale też posługiwania się nim, postprodukcji zdjęcia. Malarstwo wymaga innych umiejętności niż fotografia i polega na czymś innym. To są dziedziny nieporównywalne.

*Oba media są nieporównywalne, jeśli jednak powrócimy do fotografii kreatywnej jako takiej, zauważymy, że łączy się ona pod pewnymi względami z malarstwem. Podczas rozmowy Tomkiem wielokrotnie padało określenie *myślenie malarskie* i kwestia planowania rezultatów fotograficznych w sposób plastyczny.

T.S.: Bardzo często pomysły wykraczają poza możliwości, często ludzie wymyślając koncepcje, mają je tylko w głowie. Z tym że w głowie nie ma kadru, racjonalnych proporcji, nasz kąt widzenia wynosi 140 stopni i tak mniej więcej działa wyobraźnia. Standardowy aparat ma natomiast bardzo wąskie pole widzenia, więc trudno jest zmieścić nasz pomysł w prostokącie. Dlatego też namawiam wszystkich podczas myślenia do siedzenia nad kartką i rysowania konceptu. Nie chodzi o to, czy ktoś umie rysować, tylko o jakiegokolwiek proporcje. Wtedy łatwiej jest okiełznać nieograniczoną fantazję, zamknąć ją w ramkach.

*Ostatnią rzeczą, o którą zapytałam Tomka, były oczekiwania, bo trudno mi wyobrazić sobie reżyserię zdjęcia bez żadnych spekulowanych rezultatów. Szczególnie, gdy temat jest nietypowy, a uczestnicy warsztatu mierzą się z fotografią kreatywną po raz pierwszy. Bardzo łatwo jest wtedy narzucić komuś własną wizję, pokierować zagubionych na konkretne, osobiste ścieżki czy zaproponować estetykę bliższą sobie.

T.S.: Nigdy nie chcę spodziewać się żadnego efektu. Z resztą na tym polega proces twórczy, że zawsze wychodzi coś innego. Nawet oglądając portfolio uczestników, nie staram się niczego przewidywać. Trzeba zapomnieć o tym, co się już zrobiło w życiu, i stanąć przed rozwiązaniem tego tematu. I tyle. Mając możliwość konsultacji ze mną, będąc w grupie, co jest zawsze stymulujące, bo będziemy omawiali wszystko na początku. I będziemy rozmawiać o różnych rzeczach...

Siedem minut w zawieszeniu

Nina Paśniewska

Jak wyjątkowa jest codzienność świnoujścian, przekonałam się tuż po wyjściu z dworca kolejowego, gdy po zapytaniu, jak dostać się do centrum, kazano mi udać się nie na ordynarny tramwaj czy autobus, ale na... prom miejski.



Fot. Paweł Kasprzak

Mikroświat, jakim jest każde miasto, ma swoje unikalne struktury, zwyczaje i rutyny, które często dziwią czy nawet szokują przyjezdnych. Żyłą pompującą krew Świnoujścia i wyznaczającą rytm jego funkcjonowania jest z pewnością przecinająca je na pół Świna. Śródmieście oraz dzielnica Warszów znajdują się po jej przeciwnych brzegach – i nie byłoby w tym nic nietypowego, gdyby nie fakt, że nie sposób ich ze sobą połączyć. Świna stanowi element toru wodnego Szczecin–Świnoujście i gdyby dwa brzegi miasta spiąć mostem, uniemożliwiłoby to przepływ wysokim statkiem. W obliczu konfliktów: natury, infrastruktury i transportu trzeba było znaleźć innowacyjne rozwiązanie.

Potrzeba wynalazcą atrakcji

Większość akwenów wodnych znajdujących się na terenach zamieszkałych można ujarzmić za pomocą kładek i mostów; i to one kojarzą się z typowymi środkami/sposobami miejskich przepraw przez wodę. Świnoujska infrastruktura potrzebowała jednak znaleźć rozwiązanie niewpływające inwazyjnie na kanały żeglugi morskiej. Niekorzystne warunki naturalne w połączeniu z ograniczeniami narzuconymi przez wymogi transportu morskiego doprowadziły do stworzenia rozwiązania niewpisującego się w tradycyjnie pojmowane doświadczenie codzienności. W 1976 roku mieszkańcy po raz pierwszy przeprawili się z jednej strony miasta na drugą promem

miejskim Bielik i od ponad 40 lat jest on dla nich oczywistym środkiem transportu.

Tak jak wrocławianie co dzień wskakują do tramwajów, tak świnoujścianie czekają, aż otworzą się dla nich szlabany dokującego do portu promu. Miejskie przeprawy Bielikami i Karsiborami pokazują, jak miejsce zamieszkania determinuje pojęcie codzienności oraz percepcję jej doświadczania. Wychodząc z dworca kolejowego, zdziwiłam się, gdy kazano mi udać się na prom miejski, aby dostać się do centrum miasta. Wmieszana pomiędzy lokalsów i turystów, między spokój i obojętność tych pierwszych oraz migawki aparatów tych drugich, widząc cztery pełne pasy samochodów czekające, aż kontroler ruchu pozwoli wjechać im na prom, jako stuprocentowy szczur lądowy czułam się przeszczepiona do innego środowiska.

Z zachwytu w rutynę

Zafascynowana nietypowym środkiem transportu miejskiego (do tego darmowym!), na jakim się znalazłam, podeszłam do pani płynącej bez bagaży, trzymającej na smyczy psa rasy husky, licząc, że trafię na świnoujściankę, która wyjaśni mi promowy fenomen.

– Dla mnie osobiście jest to taka normalna rzecz; kiedy trzeba, to się człowiek przeprawia, kiedy nie, to nie – odpowiedziała na moje pytanie o jej stosunek do codziennych rejsów. – Jako dziecko się lubiło pływać, jak to każde dziecko, później to się przeradzało w taką normalność, że to jest na porządku dziennym, jak każda inna sytuacja.

Determinizm miejsca zamieszkania wskazuje na to, że gdybym wychowywała się w Świnoujściu, łapałabym prom zupełnie swobodnie. Postanowiłam jednak zaczepić kobietę jedzącą loda w rożku, wyraźnie zapatrzoną w morze, i zadać jej to samo pytanie.

– Ja jestem tu turystycznie i bardzo mi się podoba, ale rano płynęłam z dziewczyną z Międzyzdrojów, która całe liceum dojeżdżała i doptywała do Świnoujścia do szkoły. I mówiła, że nigdy więcej; co dzień półtorej godziny podróży – strasznie ją to męczyło.

Szukając trzeciego punktu widzenia, zaczęłam młodą dziewczynę, jak się okazało, turystkę z Warszawy, dla której przeprawa promem również stanowiła coś dziwnego i odmiennego, ale jednocześnie ekscytującego i ciekawego.

Siedem minut ekstrawagancji

Kurs promu trwa około siedmiu minut. Przez ten czas podróźni znajdują się niejako w zawieszeniu pomiędzy jedną załatwioną sprawą a drugą. Co tu robić? Kierowcy w samochodach zazwyczaj pochylali się nad swoimi smartfonami, na których grali w gry lub przeglądali strony internetowe, albo podkręcali radio, powodując kakaofonię. Rowerzyści trzymali swoje pojazdy, aby nie zsunęły się wzdłuż promu. A piesi? Matki z dziećmi kotysały wózki, część patrzyła w swoje telefony, nieliczni rozmawiali, turyści robili sobie pamiątkowe zdjęcia, a moja rozmówczyni z huskym oglądała pokaz armatki wodnej, bo – jak sama powiedziała – pomimo tylu lat podróżowania promem zawsze znajdzie coś nowego i interesującego na horyzoncie. Ja zaś, w przerwach od rozmów, jadłam paluszki.

Dla pewności postanowiłam spytać jeszcze znajomego ze Świnoujścia, jak on gospodaruje siedmioma minutami na promie, aby upewnić się, że dla mieszkańców ten rejs jest tak oczywisty i normalny, jak dla mnie przejazd tramwajem. Swoją odpowiedź rozpoczął od „no, nie wiem, płynię się”, co pokazało, że codzienność jest tak oczywista dla każdego z nas, że trudno nawet pomyśleć o niej w kategoriach egzotyki i inności.

Wieczna przyjaźń

Mateusz Purcel

O festiwalowej duszy, historii, przyjaciółach i o człowieku, którego w tej edycji zabrakło – Wojciechu Müllerze, rozmawiam z Henrykiem Zarembą – dyrektorem Famy w latach 1985–1987, uczestnikiem i przyjacielem świnoujskiego festiwalu.



Henryk Zaremba, fot. Julia Nowak

Mateusz Purcel: Kiedy zrodziła się Pana miłość do festiwalu?

Henryk Zaremba: Jako uczestnik i organizator przyjechałem po raz pierwszy w 1984 roku – czyli to jest dokładnie moja 33. Fama. Przez pierwsze cztery występowaliśmy jako organizator. W 1986 byłem dyrektorem festiwalu, potem opuściłem kraj i ziemię rodzinną, pojechałem do Niemiec i tam zostałem.

I rokrocznie przyjeżdża Pan na Famę?

Tak, tylko raz nie przyjechałem – w roku, w którym wyjeżdżałem z kraju. Obserwuję,

jak ten festiwal się zmienia. Nie dlatego, że artyści się zmieniają, ale przez możliwości organizacyjne i finansowe. W '85 byłem odpowiedzialny za organizację i produkcję festiwalu, który trwał przez trzy tygodnie i łącznie liczył tysiąc uczestników.

To jest nieporównywalne z dzisiejszą sytuacją.

Oczywiście. Dzisiaj nie ulokowałbyś artystów w namiocie wojskowym po dziesięć osób, a wtedy to było całkiem normalne i nawet sympatyczne. A teraz w Świnoujściu, żeby zapewnić zakwaterowanie tysiącu osobom, musiałbyś być multimilionerem.

Oprócz kwestii organizacyjnych zmieniła się także muzyka i jej definicja.

Trudno mi to do końca oceniać. Nie wiem, czy już nie ma tylu ówczesnych bardów, piosenkarzy z gitarą i własnym tekstem, muzyką. Kultura się zmienia, muzyka się zmienia. Powiem uczciwie, ale to się dotyczy właściwie ludzi mojej generacji – trochę za dużo w tym wszystkim elektroniki, ale jeżeli to jest wyznacznik czasu, to widocznie tak musi być. Nie będziemy na siłę niczego zmieniali.

Fama wciąż ma siłę promocji młodych artystów?

Wszyscy, oczywiście, wspominają wielkie nazwiska. W tamtych czasach, jak ktoś otrzymał nagrodę, to znaczenie sukcesu było na pewno o wiele większe, bo festiwalu tego typu w ogóle nie było. Fama prowokuje do spotkań odmiennych nurtów artystycznych. Prezentacje autorskie są czasami trudne w odbiorze, ale to nie jest festiwal zawodowców. Przyjeżdżałem z Düsseldorfu 800 kilometrów tylko na koncert galowy i na tym koncercie usłyszałem jednego artystę, który mi został w pamięci – to mi wystarczy. Niczego więcej nie oczekuję od festiwalu. Przyjeżdżają tu młodzi ludzie, którzy są na początku swojej kariery. Nic więcej, nic mniej.

Jest w Panu dusza famowicza?

Tak, zdecydowanie. Ale jestem tym typem, któremu zależy na tym, żeby ten festiwal był dobry, funkcjonował, coś dawał młodym ludziom. Młodym, przyjeżdżającym, którzy go zapamiętają, którzy może nawet nie przyjadą drugi raz.

Można myśleć o festiwalu bez tego aspektu społecznego? Integracji artystów, uczestników?

Ani trochę. Pamiętam, jak rok temu, była trzecia nad ranem, szedłem na Oflag, do biura; patrzę, a tam siedzą na schodach tłumy słuchające grającego zespołu. – „A czemu oni tu grają?” / – „No, bo mają prom o czwartej czterdzieści i do tego czasu mogą grać”. Młodzież chce to oglądać, chce tego słuchać.

Fama jest też matką wielu związków i wielu dzieci.

Ach! To na pewno. Nie znam statystyk, ale w takich zbiorowiskach, jeszcze z ludźmi takiego kalibru, to jest naturalne. Smutno by mi było, gdyby było inaczej.

Ma Pan jakieś pomysły, które mogłyby wzbogacić kulturalną ofertę miasta?

Skupiając więcej środków i ludzi, można byłoby oprócz kombinatu turystycznego zaproponować o wiele więcej. Amfiteatr jest mało wykorzystywany. Teraz przedstawiany tam jest jeden koncert. Przed Famą był tylko kabareton. Obiekt, jakim jest – na przykład – Amfiteatr, mógłby łączyć. Mam dwa obywatelstwa i zależy mi, żeby te narody w jakiś sposób się zbliżyły. Może poprzez uczestnictwo w spotkaniach artystycznych czy kulturalnych, które dawałyby coś nie do żołądka, ale do głowy i serca. Takie spotkania po prostu zbliżają ludzi.

Któraś edycja festiwalu zapadła Panu w pamięć?

Nieegoistycznie, ale najbardziej, chociaż nie ze względów artystycznych, to edycja z '85 (kiedy współorganizowałem Famę) – z tysiącem uczestników – to do dziś pamiętam. W sumie nie dlatego, że było ich tylu, ale wiem, że dzisiaj coś takiego byłoby niewykonalne.

Był Pan dyrektorem festiwalu przez dwie edycje, w '86 i '87. Trudne było sprawowanie pieczy nad organizacją? Można wtedy cieszyć się z festiwalu, przeżywać go?

Na festiwal pracowało się przez dwa, trzy miesiące – tu na miejscu – i Bałtyku się nie widziało. Pamiętam te edycje, na które wyjechałem i nie zamoczyłem nawet nóg w morzu. Widzę, jakie są możliwości techniczne dzisiaj – kiedyś to było moje marzenie. Z każdą rzeczą musiałem dostawać jakieś asygnaty, musiałem latać, nie było materiałów, to była pustka. Dzisiaj potrzebne są tylko pieniądze – idziesz do pierwszego lepszego sklepu i dostajesz wszystko, czego potrzebujesz. W tamtych czasach to były problemy, któ-

re polegały na tym, że „nie wiedziałeś, jak zrobić, tylko nie wiedziałeś, czym to zrobić”. Nie wspominam o próbach cenzorskich, które były konieczne.

Fama to nie tylko muzyka, sztuka. To także miejsce spotkań. Czy festiwal przynosi jakieś przyjaźnie?

Bezwzględnie. Nie przyjeżdżałbym tutaj po raz 33., gdyby nie ludzie, do których wracam. Warto przyjeżdżać. Dla mnie obcowanie z młodymi ludźmi jest frajdą. Dobrze się tu czuję. Świnoujście ma zalety, które to wszystko scalają w jedną całość.

Miasto zawsze wspiera festiwal i wpisuje się w jego losy.

Tak. To było marzenie zobaczyć Amfiteatr w takim stanie, w jakim jest dzisiaj. To było marzenie 30 lat Famy. Teraz Fama ma problem, że nie ma klubu festiwalowego. Takie miejsce musi być. Mam nadzieję, że hala stoczniowa w Basenie Północnym spełni oczekiwania wszystkich. Potrzebne są pieniądze i pomysły, jak to miejsce zaaranżować i wykorzystać. Myślę, że może służyć także miastu, Famie, mieszkańcom, żeglarzom... wszystkim.

Daje coś Panu przyjaźń festiwalowa?

Uważam, że więcej ja z tego korzystam niż Fama ze mnie. Założyłem sobie, że do 50. edycji Famy, czyli jeszcze dwie edycje, będę tu na pewno przyjeżdżać. Potem? Zastanowię się.

Naprawdę?

Sam nie wierzę w to, że jeśli jeszcze będę żył, to nie przyjadę tutaj. Ja bardziej potrzebuję Famy, tego otoczenia i tych ludzi, aniżeli odwrotnie.

Trudno wyobrazić sobie Famę bez Pana.

Zawsze Bodkowi Bojczukowi mówię „Gram w totolotka w Niemczech, gdy wygram dużo pieniędzy, tobym wam te finanse jakoś zabezpieczył”. No, ale nie udało mi się jak dotąd wygrać.

Utrzymuje Pan kontakt z ludźmi poznanymi na festiwalu?

Tak, oczywiście. Jak się było tyle razy na Famie, to znajomości zawiązują się automatycznie. Kiedy jestem w Warszawie, czy gdzieś indziej, to spotykam się z osobami, z którymi poznałem się na festiwalu. Z upływem czasu ludzie niestety się wykruszają. Myślę w tym momencie o świętej pamięci Wojtku Müllerze – jego odejście to duża strata dla festiwalu.

Kim był Wojciech Müller dla Famy?

Uosobieniem ducha Famy – od zarania do dzisiaj. Bo on przyjechał na Famę jako członek i lider grupy plastycznej „Od Nowa” z Poznania. W latach 70. wygrali Trójkąb Neptuna. Po wznowieniu Famy przez lata Wojtek był jurorem festiwalu, szefem Rady Artystycznej. Zawsze patronował swoim studentom, chociażby z późniejszej ASP z Poznania, w której zresztą pełnił funkcję rektora. Wojtek to było guru festiwalu. Jak już nie było żadnej możliwości pomocy, wszyscy szli tylko do Wojtka. Pomiędzy swojej postury był bardzo spokojnym, wyważonym człowiekiem. Nie pamiętam, żeby kiedykolwiek się zezłościł. Miał w sobie stoicki spokój. Nie ukrywam, że zaproponowałem organizatorom festiwalu, żeby Famę nazwać jego imieniem.

Wojciech Müller odwiedzał Famę przez wiele lat, tak jak Pan.

Do momentu, w którym nie zachorował, był tu praktycznie co roku. Zawsze tu bywał. On po prostu żył tym festiwalem. Mimo że czasami, jak mówił, obserwował z boku, tak jak ja, to Fama była mu szcze-

gólnie bliska. Wojtka teraz tutaj brakuje. Na 46. edycji Wojtek jeszcze był, z Bożenką. Wiedziałem, że chorował. Był niesamowitym człowiekiem, profesorem na Akademii Sztuk Pięknych w Poznaniu, prowadził klasę grafiki, był rektorem PWSSP, zasiadał w Radzie Artystycznej przy Ministerstwie Szkolnictwa, poza tym wykładał w Zielonej Górze i także wystawiał swoje prace. Wojtek był przede wszystkim artystą.

Z Famą był związany dłużej niż Pan?

Tak. Od kiedy pamiętam, on co roku tu był. Bez względu na funkcję. Co roku ze swoimi studentami robili własny warsztat. On tę Famę ogniskował – z krwi i kości, od artysty do organizatora, od jurora do szefa artystycznego. Dla mnie Wojtek był Famą. Gdybyś zapytał „Wymień jednego człowieka, z którym kojarzy ci się festiwal”, od razu powiedziałbym: profesor Wojciech Müller. To smutne, gdy odchodzi taka osoba. Czuję się wtedy nie tyle osamotniony, ale mam wrażenie, że nie mam kontaktu z moją grupą wiekową. A już niewielu ludzi zostało, bo ci, którzy mogli być – nie jeżdżą tak jak ja, tylko przyjeżdżają punktowo, a niektórzy, którzy tak jak Wojtek przyjeżdżali co roku – odchodzą.

Na Famę przyjeżdża Pan z przyjaciółmi i przywiązania?

Na pewno, inaczej bym tego nie robił. Bo po co? Jest ponoć tyle pięknych miejsc na ziemi, ale one są dla mnie bez festiwalu mało interesujące.



Wojciech Müller, fot. Archiwum Festiwalu Fama

Wojciech Müller (ur. 1947 w Poznaniu, zm. 15 sierpnia 2018 tamże) – plastyk, grafik, rektor poznańskiej uczelni artystycznej, profesor zwyczajny sztuk plastycznych, związany z Famą od lat 70., uczestnik grupy „Od Nowa”, przewodniczący Rady Artystycznej oraz Rady Fundacji Alma-Art. Podczas jego kadencji Państwowa Wyższa Szkoła Sztuk Pięknych przeobraziła się w Akademię Sztuk Pięknych. Laureat Złotej Odznaki Famy. W 2000 roku został odznaczony Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski. W 2017 roku – za wieloletnią pracę akademicką, osiągnięcia artystyczne i zaangażowanie w kulturę miasta – otrzymał tytuł „Zasłużony dla Miasta Poznania”. Zrealizował około 60 wystaw w kraju i za granicą. Był laureatem między innymi Biennale Grafiki w Krakowie i w Bradford.

EABS: Znaleźć swoją tożsamość

Witold Regulski

Chociaż grupa Electro-Acoustic Beat Sessions powstała siedem lat temu, przed 25 maja 2017 roku poza środowiskiem hip-hopowo-jazzowego podziemia mało kto o niej słyszał. Wszystko zmieniło się wraz z wydaniem płyty *Repetitions (Letters to Krzysztof Komeda)*. W ciągu kilku tygodni twórczość septetu stała się jednym z najbardziej docenianych projektów na polskiej scenie muzycznej. Nie było chyba zestawienia najlepszych polskich płyt za rok 2017, w którym nie byłoby *Repetitions*. Jak to się stało, że jazz wrócił do łask i stał się atrakcyjny?

Początkowo bardziej niż o pełnoprawnym zespole należało chyba mówić o projekcie Electro-Acoustic Beat Sessions, w ramach którego muzycy organizowali muzyczne imprezy we wrocławskim klubie Puzzle. Spotkania pełne były beatów i sampli, jazzowa improwizacja mieszała się z elektroniką, soul z hip-hopem. To właśnie tam należy szukać początków charakterystycznego stylu grupy.

Czas występów w Puzzle był również czasem pierwszych wyróżnień i nagród dla EABS. Grupa otrzymała nagrodę Wrocławskiego Artystycznego Odkrycia 2013 roku oraz przyznaną przez „Gazetę Wyborczą” nagrodę „WARTO”. Etap wrocławskich jam session został zwieńczony wydaniem kasety *PUZZLE Mixtape*. Wybrane, pochodzące z lat 2012–2014, nagrania ukazały się nakładem wytwórni Astigmatic Rrecords.

Od Davisa do Komedy

Z czasem EABS zaczęli być coraz bardziej rozpoznawalni w środowisku jazzowym. W 2015 roku grupę zaproszono do Kielc na zorganizowany z okazji rocznicy śmieci Milesa Davisa festiwal „Memorial to Miles”. Grupa wzięła na warsztat nieco niedoceniane w przeszłości kompozycje legendarne

go trębacza. Zagrali między innymi utwory z lat 80. czy motyw ze ścieżki dźwiękowej filmu *Dingo* ze schyłkowego okresu twórczości Davisa. W podobny sposób podejść do muzyki Krzysztofa Komedy.

Spotkanie z muzyką polskiego jazzmana dla członków EABS – podobnie jak w przypadku Davisa – było nieplanowane i dotyczyło konkretnego wydarzenia. Zespół został zaproszony na Festiwal Filmowy we Wrocławiu, by zaprezentować filmowe utwory dowolnego polskiego kompozytora. Padło na Krzysztofa Trzcńskiego. Ponownie zespół skupił się na kompozycjach mniej znanych. Postawiono na utwory z etiud baletowych, filmów fabularnych czy krótkich metraży z lat 1962–1967.

Dlaczego zetknięcie z muzyką Milesa Davisa skończyło się na jednorazowym występie, a interpretacja Komedy przerodziła się w ambitny projekt, dzięki któremu zespół odnalazł własną tożsamość i wypracował swój styl? Marek Pędziwiatr, wokalista i klawiszowiec zespołu, w rozmowie stwierdził, że z kompozycjami trębacza trudno było się identyfikować:

– To też było wyjątkowe, ale w pewnym momencie zdaliśmy sobie sprawę, że nie

mamy związku emocjonalnego z tą muzyką. Natomiast pracując nad *Komedą*, czuliśmy, że robimy coś ważnego dla nas samych i że jesteśmy z tego zadowoleni.



EABS, fot. Marta Smerecka

W poszukiwaniu swojego stylu

Zadowoleni byli również krytycy, dziennikarze i fani. *Repetitions (Letters to Krzysztof Komeda)* odebrano jako najlepszy od wielu lat hołd dla pianisty i zwrócenie uwagi mainstreamu na muzykę jazzową w momencie, gdy gatunek w świadomości zwłaszcza młodszego pokolenia pokrył się kurzem. Postać *Komedy* okazała się dla EABS pomostem do wypracowania własnego stylu i brzmienia. Kompozycje jazzmana wybrzmiały świeżo, a jednocześnie zachowały w sobie romantyzm i melancholię, które cechowały kompozycje pianisty. Równie istotne okazało się odnalezienie równowagi pomiędzy wpływami hip-hopu, soulu czy elektroniki oraz charakterystycznej dla „polskiej szkoły jazzu” słowiańskiej melodyki. W jakiś sposób zespołowi udało się znaleźć wspólny mianownik dla tych elementów bez popadnięcia w muzyczną groteskę.

Szukanie tożsamości w twórczości EABS odbywa się jednak nie tylko na płaszczyźnie wypracowywania własnego, niepowtarzalnego stylu. Płyta jest także swego rodzaju odpowiedzią na polskie produkcje, w których inspiracja zagraniczną muzyką przybiera niebezpieczną formę kopiařstwa.

– My, jako Polacy, cały czas próbujemy być jak ktoś inny i porównywać się do innych. Powinniśmy dawać światu coś, czego nie słyszał, a nie powielać schematy, które zadziały gdzieś indziej – mówi Pędziwiatr.

Patrząc na odbiór *Repetitions* poza granicami naszego kraju, można dojść do wniosku, że takie podejście może się opłacić. W lipcu zespół zagrał serię koncertów w Wielkiej Brytanii, cieszy się także uznaniem wśród tamtejszych koneserów nagrań sygnowanych podpisem „Polish Jazz”.

A skoro już przy serii „Polish Jazz” jesteśmy... Swoje uznanie dla septetu wyraziły również legendy polskiego jazzu: Michał Urbaniak i Tomasz Stańko. Urbaniak zresztą pojawia się na poświęconej *Komedzie* płycie. Jego skrzypce można usłyszeć w utworze *Free Witch and No Bra Queen / Sult*. Współpraca Pędziwiatry i Urbaniaka doczekała się kontynuacji w lutym tego roku. Klawiszowiec EABS został zaangażowany do pracy nad albumem Urbanator *Days* pod tytułem *Beats & Pieces*, na którym Urbaniak, w towarzystwie gości, łączy jazz z hip-hopem. Współpraca z Tomaszem Stańką do skutku jednakże nie doszła. Propozycja wspólnego zagrania wyszła od trębacza, koncert był już umówiony, do realizacji marzenia zespołu zabrakło niestety tygodnia.

Pomost w przyszłość

Wydaje się, że *Repetitions (Letters to Krzysztof Komeda)* została ona opublikowana w idealnym czasie. Żyjemy w epoce, którą Simon Reynolds, brytyjski dziennikarz



EABS, fot. Marta Smerecka

muzyczny i krytyk, nazywa „epoką re-”, w której najlepiej sprzedaje się to, co z nostalgią spogląda wstecz. Odkurzane są popularne niegdyś gatunki muzyczne, pojawiają się reedycje płyt i płyty-hołdy z coverami innych artystów. Przeżywalismy już renesans bluesa, garażowego rocka i muzyki elektronicznej. Teraz do bram mainstreamu po kilkudziesięciu latach ponownie puka jazz.

Wydaje się jednak, że nagranie *Repetitions* pomogło zespołowi zrobić dwa kroki do przodu. Płyta, zamiast przysłowiowym krokiem w tył, była bowiem po prostu chwilowym cofnięciem się w przeszłość.

Lider grupy ma świadomość tego, jak wygląda kondycja współczesnej muzyki:

– To, że żyjemy w epoce „re-”, można odczuć, patrząc na gatunki muzyczne. Właściwie nie powstają żadne nowe, mają miejsce tylko dekonstrukcje gatunków już istniejących. Muzyką, którą robię z kolegami, sta-

ram się pójść dalej, stworzyć nową jakość, ale ją można uzyskać tylko osobowością. My, Polacy, gdzieś zdusiliśmy w sobie naszą tożsamość, a tak naprawdę Zachód czeka na coś unikatowego z naszej strony. I stąd też Komeda jest dla nas wielką nauką i pomostem do następnego kroku, czyli nagrania kolejnej – tym razem autorskiej – płyty.



Ch(w)ać

Julia Nowak

Na festiwalu przyznaje się laury i nagrody wszelkiej maści. Głównymi z nich są Tryton oraz Trójząb Neptuna. Wszystkie zostają wręczone podczas finału Famy, a zwycięzcy kąpią się w blasku sławy, ciesząc powszechnym uznaniem i szacunkiem mniej więcej do następnego dnia, kiedy famowicze wsiadają do pociągów i rozejżdżają się do domów.



Psa ma Fama, fot. Stanisław Zarychta

Przez dwa tygodnie Fama staje się dla przybyłych swoistym domem – wszyscy uczestnicy myją się wodą z tych samych skrzypiących rur, siedzą na tych samych poduszkach na trawie i żywią bułkami z tej samej Żabki. W atmosferze powszechnej przyjaźni i słońca można zapomnieć, że ktoś te wszystkie artystyczne wysiłki ogląda i ocenia – duch rywalizacji rozplywa się gdzieś pod rozpostartymi nad trawnikiem Oflagu firankami. Nagrody nie są celem samym w sobie, służą raczej jako wyraz uznania dla przeprowadzonych wydarzeń i własnej twórczości. Doceniany jednak lubi być każdy, a pole do gratulacji zwycięzcom ogranicza sama forma festiwalu – ledwo wystarcza czasu na opicie sukcesu, bo następnego dnia trzeba zapakować manatki

i razem z kaczem wrócić do rodzinnego miasta. Dlatego warto przypomnieć o tych, którzy w zeszłym roku odjeżdżali ze Świnoujścia w chwale.

Trójząb Neptuna przyznawany jest za najlepsze wydarzenie artystyczne. W 2017 roku powędrowała do grupy odpowiedzialnej za czytanie performatywne *Czas snu* oraz do twórców projektu *Psa ma Fama*, prowadzonego przez Katarzynę Duraj i Annę Poznańską.

Psacerem przez Świnoujście

Psa ma Fama to inicjatywa, której głównym celem było zwrócenie uwagi świnoujskiego społeczeństwa na sytuację zwierząt w przepełnionych schroniskach. „Psacery”, czyli przemarsze z psami przez centrum miasta, sesje zdjęciowe, zbiórki pieniędzy czy nowy mural związany z projektem – wszystkie działania spotkały się z entuzjastycznymi reakcjami, a także wsparciem famowiczów. I chociaż pomysłodawcy nie dawno nie zaglądały do Świnoujścia, to projekt nie był jednorazowym zrywem. O tym, co się zmieniło przez dwanaście miesięcy, rozmawiałam z Katarzyną Duraj.

Julia Nowak: Co się działo przez ten rok? Projekt był kontynuowany?

Katarzyna Duraj: Projekt wrócił z nami do Krakowa, skąd przyjechałyśmy. Działa-

łyśmy dalej na rzecz tamtejszych zwierząt w ramach Studenckiego Domu Tymczasowego – to jest inicjatywa, która trwa cały rok, pozafestiwalowo, ale to też jesteśmy my, więc wszystko sprowadza się do pomocy zwierzacom. Studencki Dom Tymczasowy zakłada pomoc zwierzętom bezdomnym, ze schronisk, z ulicy, z fundacji, które my przygarniamy na jakiś czas i którym szukamy stałych domów.

Zeszłoroczna nagroda pchnęła te działania w nową stronę czy raczej stanowiła potwierdzenie tego, że są słuszne?

K.D.: Działamy tak naprawdę od kilku lat, z resztą różni artyści też przyjeżdżają na Famę od wielu lat i nie czekają na nagrodę. Podobnie było z nami. To było fajne doświadczenie, bo współpracowałyśmy na innym gruncie, na innych zasadach i trochę na czym innym polegało to, co robiliśmy na Famie. Różniło się od tego, czym zajmujemy się na co dzień. I było super, bo utwierdziło nas w przekonaniu, że to, co robimy, jest okej, że jest potrzebne. Dało nam to kopa do działania na następny rok, na to, co robimy w Krakowie.

Będzie jeszcze powrót na Famę?

K.D.: Bardzo tego chcemy! W tym roku powstrzymały nas plany zawodowe i nie udało nam się wyrwać do Świnoujścia, żeby realizować projekt raz jeszcze, ale bardzo chcemy wrócić. Famę na pewno odwiedzimy w tym roku na krócej, ale na dłużej też bardzo chcielibyśmy przyjechać, raz albo i nie raz.

Wybitni trubadurzy

Nagroda Tryton przyznawana jest z kolei dla największej osobowości artystycznej festiwalu. W zeszłym roku trafiła do muzyka Pawła Swiernalisa.

Co się zmieniło przez ten rok, co się działo w Twoim życiu?

Paweł Swiernalis: U mnie działo się bardzo dużo, głównie w związku z prywatnymi sprawami, dopadła mnie taka trochę proza życia. Ale też pod względem artystycznym rok był bardzo ciekawy. Nie grałem zbyt dużo koncertów, ale bardzo intensywnie pracowałem i kończę właśnie następną płytę. Tak że to mi gdzieś tam spędzało sen z powiek. Był to na pewno rok obierania jakiegoś nowego kierunku.

Jakie znaczenie miała dla Ciebie zeszłoroczna nagroda? Stanowiła źródło zmian czy też może utwierdziła Cię w czymś?

P.S.: Potwierdzeniem mógłbym to nazwać, gdybym się czegoś spodziewał, ale tak nie było. Na pewno całe to zwycięstwo dało mi jakieś poczucie pewności, że to, co robię, chyba ma sens; odkryłem w sobie jakieś nieznane wcześniej pokłady wiary w siebie. Na pewno dało mi to dużo paliwa do działania. Właśnie jeśli chodzi o muzykę, tego typu rzeczy. Żeby jednak tego nie rzucać. Mimo wszystko myślę, że był to jakiś impuls, który miał znaczenie przy późniejszym rozpatrywaniu życia, czy może nie warto byłoby zacząć „poważnie” patrzeć na sprawy, pójść do normalnej pracy etc. Więc mogę zwalić na Famę, że wciąż jestem niepoważnym człowiekiem, który wierzy, że w końcu uda mu się gdzieś tam muzycznie ogarnąć, że w stu procentach będzie mógł z tego żyć i w zasadzie tylko tym się zajmować. Był to, i wciąż jest, argument ku temu, żeby robić swoje.

Planujesz wracać na Famę?

P.S.: Wiesz, jak zobaczyłem w tym roku ogłoszenie i zdałem sobie sprawę, że to już, że jest po ptakach, że się nie zgłosiłem, to się, brzydko mówiąc, wkurwiłem na siebie. Bo przypomniałem sobie, jak było rok

temu i dwa lata temu, i dotarło do mnie, że w tym roku mnie to ominie. Więc parzę na wszystkie *social media*, zdjęcia i czuję taki bardzo miły ścisk w sercu, że to się dzieje. I na teraz wiem, że w przyszłym roku na pewno się na Famę zbiorę.

*Na równi z Pawłem Swiernalisem wyróżniony został Sławomir Przybył – gitarzysta i autor piosenek, pochodzący z Poznania.

Co się u Ciebie działo przez ten rok po otrzymaniu Nagrody Tryton?

S.P.: Ciągłe stawiamy sobie nowe cele i mety, do których chcemy dążyć. Teraz na szczęście więcej koncertujemy, to jest chyba najważniejsza sprawa, bo na tym koncertowaniu nam najbardziej zależy. Ostatnio przystąpiliśmy do konkursu na festiwalu w Jarocinie, który mieliśmy przyjemność wygrać. I każdy z tych momentów, tych festiwali, wiąże się z nowymi spotkaniami, nową trasą, którą gdzieś przed sobą klarujemy. I myślę, że powoli będziemy się też zabierać za nowy materiał. Mimo że nasza pierwsza płyta jeszcze nie została wyeksploatowana w sensie koncertowym i promocyjnym, to już myślimy o nowych utworach, nowych pieśniach, które sobie powolutku przygotowujemy. Jeśli chodzi o Famę, to w najbliższy piątek będziemy mieli okazję zagrać na tym festiwalu. Z wielką chęcią i sentymentem będziemy zawsze wracali do tego miejsca, do Świnoujścia, do ludzi, których tam poznaliśmy i z którymi w dużej części nadal mamy kontakt przez cały rok. Na pewno ta nagroda była dla nas dużą mobilizacją, takim zastrzykiem energii, chęci do dalszego wspólnego tworzenia muzyki.

Nagroda to był taki motywator?

S.P.: Zdecydowanie było to pierwsze wrażenie z naszej niedługiej na razie działalności. Na szczęście nie była to tylko nagroda, ale wiązało się to też z tym, że po prostu

zaczęliśmy poznawać nowych ludzi, że z tymi ludźmi trzymamy kontakt – to jest taki główny aspekt tego wydarzenia. Fama jest czymś więcej niż tylko konkursem. Nigdy nie chcieliśmy myśleć o tym w kontekście jakichś zawodów, tylko raczej wspólnego spotkania i działania artystycznego. W tym sensie była, i nadal jest, taką wielką sprawą i cieszymy się ogromnie, że możemy wrócić, spotkać się jeszcze raz z tymi ludźmi, porozmawiać.

Exegi monumentum

Niech ten artykuł stanowi rodzaj przypomnienia o krótkiej chwili sławy, która spotkała niektórych na zeszłorocznym festiwalu. Niech wywoła zazdrość obecnych uczestników i rozbudzi nostalgię w tych, którzy na własne oczy oglądali tamten pamiętny sierpień. Niech stanowi pomnik, z celulozy, bo na spiż nas nie stać, ale wciąż pomnik. Pomnik chwały, zgnieciony na dnie plecaka w pociągu ze Świnoujścia do okrutnej rzeczywistości.



Swiernalis, fot. Marysia Kosińska

Hymny o młodości

Mateusz Purcel

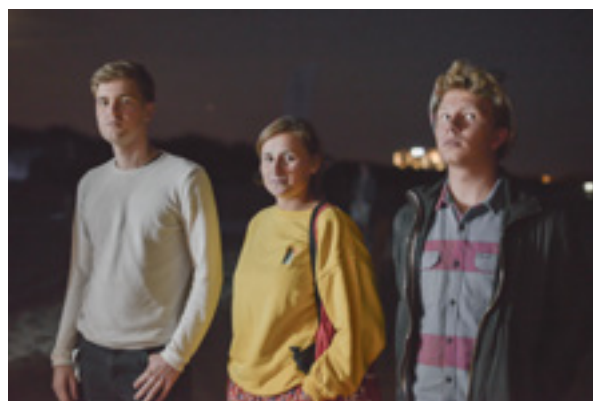
Nie jest łatwo prezentować swoje wnętrze. Bo co zamknięte jest w naszej muzyce jeśli nie prawda o nas samych? Czym ona jest dla muzyków różnego pokolenia, z różnym wykształceniem, pochodzących z różnych miast i miasteczek? Czy wiek w muzyce ma jakiegokolwiek znaczenie?

Fama w tym roku obchodzi 48. rocznicę. Uczestnicy mogliby być zatem zarówno jej festiwalowymi dziećmi, jak i wnukami. To Fama często rozpoczyna wielkie kariery, miłości i wspiane znajomości. Fama przyciąga nie tylko atrakcjami nadmorskiego miasta, ale też zjednuje ludzi i sztukę, a ta ostatnia nie zna wieku. Wszak młodość to nie data urodzenia, to stan.

Iksy to młody zespół z Miłkovic. Dwudziestoletni debiutanci (na fadowej scenie) grają ze sobą od trzech lat, koncertują zaledwie od roku. To było pierwsze spotkanie Agaty, Radka i Filipa z festiwalem, z graniem w świnoujskich miejscach. Szczególny koncert odbył się na dachu szkółki KiteFort, kiedy to melodyka piosenek Iksów (*Ukochaj, Moja miła, Ślad*) wybrzmiewała jak soundtrack romantycznych filmów, osadzonych w malowniczych, nadmorskich kurortach. Przyptywające i odpływające fale, leżaki rozłożone na chłodzącym się piasku oraz porozstawiane gdzieś świeczki wpisywały się w klimat muzyczny prezentowany przez trio.

Iksy (Agata, Filip, Radek): Nie uważamy się za dobrych muzyków, znamy swoją wartość, ale nie sądziliśmy, że jest to wartość fadowa. Dopiero zaczynamy i pierwotny skład to nasze trio, ale od niedawna

powiększamy obsadę i gramy z dodatkowymi muzykami (perkusistą i basistą). Chcielibyśmy, żeby nasza kolejna nasza płyta stanowiła most łączący twórczość naszej trójki, a poszerzeniem składu, pełniejszymi brzmieniami. Chcemy zaskakiwać słuchacza, nasza muzyka będzie ciągle dojrzewała, ale i młodziąta. Wyobrażamy sobie, że kiedyś moglibyśmy grać punkowe piosenki pełne energii i młodzieńczej butności.



Iksy, fot. Piotr Książek

Iksy piszą tylko po polsku. Oprócz tekstów autorstwa Agaty, zespół chętnie sięga po poezję, na przykład Władysława Broniewskiego czy Jonasza Kofty. Wrażliwość na słowo to także ważna cecha członków zespołu. Radek studiuje filologię polską a Agata – twórcze pisanie i edytorstwo w Katowicach. Jak sama przyznaje:

„Wszystkie teksty są mi bliskie. Nie lubię bezpośredniego języka, ubieram wszystko w metafory. Przyglądam się słowom, nie lubię oczywistości”.

Starszymi kolegami Iksów jest duet krakowskich muzyków Kirszenbaum. Wcześniej przez lata byli związani z innymi projektami. Współpracę w duecie nawiązali dwa lata temu. W ich dźwiękach i słowach drzemie wielki dynamizm i ekspresja. Wydawać by się mogło, że we dwóch takiego brzmienia nie można osiągnąć, biorąc pod uwagę, że w składzie nie ma żadnego „głośnego” instrumentu, jak na przykład perkusja. Jakub Wiśniewski (wokół, gitara, gitara basowa) i Kacper Szpyrka (skrzypce) udowadniają, że do wygenerowania takiej energii nikt więcej nie jest im potrzebny. Klasyczne brzmienia zloopowane i poddane efektom na żywo naprawdę robią wrażenie. Słychać także folkowe inspiracje wykonawców. Niech żałuje każdy, kto nie słyszał koncertu w hali Basenu Północnego. Mury drżały! Nagrania studyjne tylko w skromnej części ukazują potencjał chłopaków. Teksty Jakuba są poezją na wysokim poziomie, autor bawi się konwencją, słowami (*Samogongon*), ich zestawieniem (*Émile Zola & Kokakola*). Wszystkie dają do zastanowienia, ale też idealnie odzwierciedlają przedstawianą muzykę.



Kirszenbaum, fot. Julia Nowak

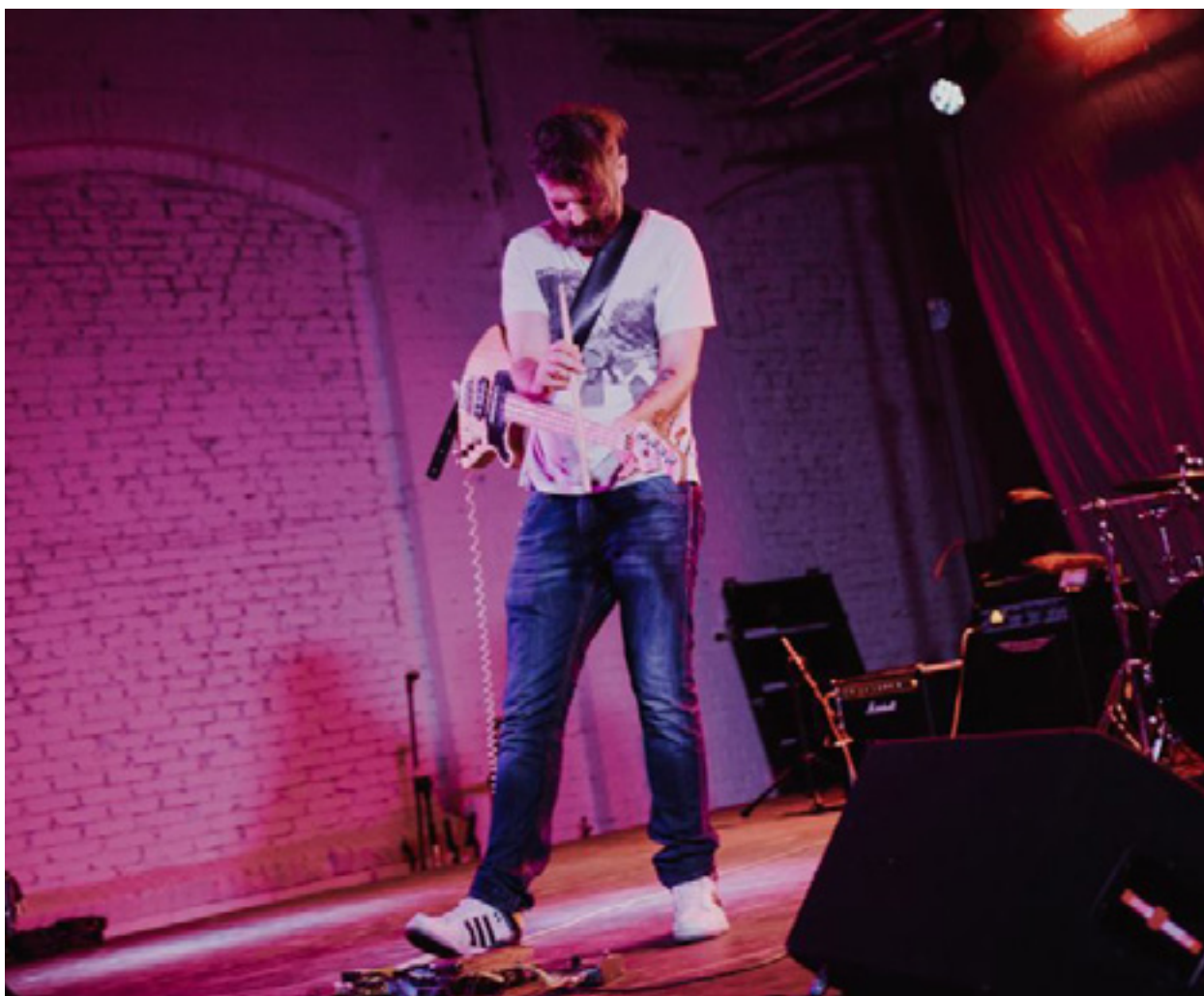
Kirszenbaum (Jakub, Kacper): Jakikolwiek artysta posługujący się słowem, który twierdzi, że nie myśli o odbiorcy, moim zdaniem kłamie albo jest nieświadomy. Sam fakt, że wybierasz takie tworzywo, jakim jest język, już powoduje, że myślisz o odbiorcy, piszesz w języku, w którym się komunikujesz. Poza tym składem pracujemy także z perkusistą, z którym gramy utwory cięższe. Nie chciałbym, żebyśmy na siłę skakali między gatunkami i eksperymentowali nie wiadomo jak. Nie chcemy, żeby eksperymentowanie wysunęło się na pierwszy plan. Eksperymentowanie jest dla nas tylko narzędziem, nie ideą samą w sobie.

Mateusz Urbański na Famę przyjechał po raz pierwszy w 2012 roku z zespołem Łatające Pięści, który zdobył nagrodę Trytona dla największej osobowości festiwalu. Dla doświadczonego, trzydziestopięcioletniego muzyka, Truchło Wolanda stało się solowym projektem, który pozwolił mu uzyskać pełną autonomię na scenie. Mateusz bawi się dźwiękami, formą czy etykietą muzyczną. Wydaje się, że do wszystkiego podchodzi z wielkim dystansem. Swój gatunek określa jako „korpo metal”, za którym stoi tytuł jednego z utworów: *Żeby dostać awans, zostałem konfidentem*. Truchło Wolanda jest też dla Mateusza wyzwaniem scenicznym. Projekt nie powstał z powodu zmęczenia grą w zespole, ale raczej po to, by realizować się twórczo na innej płaszczyźnie.

Truchło Wolanda (Mateusz): Grając w zespole, robisz swoje, ja nie byłem frontmanem, nie byłem od prezentacji scenicznej, teraz, gdy stoję sam na scenie, biorę za to jako jedyny pełną odpowiedzialność. Im mniej muzycznie kalkuluję, tym silniej tworzy się coś nowego. Myślę, że moja muzyka jest jak uprawianie matematyki, bez znajomości wzorów. W Truchle Wolanda zapominam o odbiorcach i powinnościach.

Treść jest zawsze improwizowana. Twórczość Truchła Wolanda można opisać jako proces sumowania przypadkowych składowych. Na famowym koncercie do projektu dołączyło trio Wójciński/Bańdur/Gucik. Ciężkie brzmienie, pętlowane ścieżki gitary, nakładane efekty skonstrastowane były przez duet smyczkowy i pianino. Koncert tworzył całość, przełamowaną co jakiś czas improwizacją tria. Czy ta utrata kontroli wpłynęła na kształtowaną materię Mateusza? Nie, jak sam przyznał, nie zważa na ryzyko. Muzyka Truchła Wolanda nie ukazuje muzycznych pytań i odpowiedzi. Jest kształtującą się linią bez znaków zapytania. Bliżej jej do tendencji stochastycznej aniżeli do grania napięciem.

Deski (i dachy) sceniczne Świnoujścia w sierpniu ugięły się pod ciężarem muzyki przedstawianej przez tegorocznych uczestników Famy. Sam festiwal już od kilkunastu lat na nowo definiuje „młodzież artystyczną”. Chyba to dobry znak, kiedy się widzi, że muzyka i pasja nie znają wieku. Muzyka nie dzieli, tylko łączy. A w świecie jest to chyba jedyna rzecz, która nie przynosi waśni mimo różnych poglądów.



Truchło Wolanda, fot. Marta Smerecka

3 × KOBIEȚA

Milena Soporowska

3 kobiety, 3 solowe występy, 3 wizje kobiecości. Katarzyna Dominiak, Agnieszka Matan i Marta Grygier – każda reprezentuje inne pokolenie, każda sięga po formułę sztuki jednoosobowej. Na scenie snują opowieści o tragicznych artystkach, zmagających się z dorosłością trzydziestolatkach czy matkach wkraczających w tak zwany średni wiek. Każda, poprzez sztukę sceniczną, narusza związane z płcią, wiekiem lub profesją stereotypy.

Szalona artystka

Katarzyna Dominiak urodziła się w 1999 roku w Świnoujściu. Jest absolwentką Państwowej Szkoły Muzycznej I stopnia w Świnoujściu. Związana z tutejszym Miejskim Domem Kultury; współtwórczyni Grupy Teatralnej Ujście; wokalistka. Na Famie występowała wiele razy, w tym roku po raz pierwszy ze swoim autorskim monodramem *Z innej gliny*, opowiadającym historię Camille Claudel – artystki związanej ze sławnym francuskim rzeźbiarzem Rodinem.



Kasia Dominiak, fot. Milena Soporowska

Milena Soporowska: Swój monodram poświęciłaś Camille Claudel – rzeźbiarce, kochance Rodina, ko-

biecie chorującej na głęboką depresję, która szybko popchnęła ją ku alkoholizmowi, w konsekwencji zaś ku chorobie psychicznej, przez którą 30 lat życia spędziła w szpitalu psychiatrycznym. Jak zaczęła się Twoja fascynacja tą postacią?

Katarzyna Dominiak: Fascynacja Camille zaczęła się jeszcze we wczesnym dzieciństwie. Miałam około 12 lat. Odkąd usłyszałam piosenkę związanej z Piwnicą pod Baranami artystki, Agnieszki Chrzanowskiej, zaczęłam zgłębiać biografię Claudel. Od mamy polonistki dowiedziałam się o jej związku z Rodinem. Wkrótce obie wertowałyśmy książki dotyczące jej życia i twórczości, aż natrafiłyśmy na publikację francuskiej pisarki Anne Delbee – *Kobieta. Camille Claudel*, którą obie przeczytałyśmy. Scenariusz *Z innej gliny* powstał na jej podstawie. Sama książka to obszerny zbiór między innymi wspomnień jej krewnych i listów z zakładu psychiatrycznego, pisanych do brata.

Rodin podobno wzorował swoje dzieła na twórczości Camille. Niedawno głośno było o teorii, wedle której słynna *Fontanna Marcela Duchampa* była prawdopodobnie autorstwa dadaistycznej artystki Elsy

von Freytag-Loringhoven. W historii sztuki znajdziemy wiele przykładów kobiet zapomnianych lub żyjących w cieniu swoich mężów, kochanków, kolegów-artystów. Czy czujesz, że ten wzór, który Claudel niejako powieliła, jest aktualny, reprezentatywny dla obecnej sytuacji kobiet w świecie sztuki?

Camille jest niewątpliwie artystką tragiczną, wykluczoną ze społeczeństwa za sprawą systemu patriarchalnego. Długo była przedstawiana przede wszystkim przez pryzmat skandalu z Rodinem, który również mocno przyczynił się do postrzegania jej jako niezrównoważonej. Według mnie była po prostu nieujarzmiona i niezwykle utalentowana. Niestety nie odnalazła spełnienia – ani w miłości, ani w życiu artystycznym.

Myślę, że nadal wiele kobiet kryje się gdzieś za postacią artysty-malarza, artysty-rzeźbiarza. Nadal mężczyznom łatwiej jest też osiągnąć sukces zawodowy, nie tylko na polu sztuki. Widzę to w praktyce – mężczyźni częściej dostają się do szkoły teatralnej, także po części dlatego, że jest ich zwyczajnie mniej.

Camille natomiast nie pasowała do swojej epoki, podobnie jak na przykład – nazywana po śmierci legendą – Kora. Wyprzedzając czasy, w których się żyje, często jest się skazanym na samotność i niezrozumienie przez ogół. Wielu artystów podzieliło ten los – można mówić chyba o „syndromie geniusza”. Tacy geniusze często podziwiani są dopiero po śmierci, bo za życia zbyt mocno odstawali od reszty i jednocześnie często brakowało im umiejętności sprzedania tego, co robili.

Z innej gliny jest Twoim pierwszym własnym spektaklem jednego aktora, wcześniej miałaś okazję występować z zespołem. Czemu do opo-

wiedzenia historii Camille wybrałaś formę monodramu?

Formę monodramu wybrałam z uwagi na samą postać – chciałam przedstawić sylwetkę jednej konkretnej osoby, skupić się tylko na niej. Camille Claudel była niezwykle charyzmatyczna, charakterystyczna, zasługiwała na poświęcenie jej całej uwagi. Chciałam pozbyć się wszelkich zaburzających tę uwagę elementów, zminimalizować środki. Tu nie chodziło o zwykłą narrację, fabułę, ale o samą Claudel. Gdyby jej życie przedstawić w formie teatru z wieloma aktorami, nie byłoby to wystarczająco mocne.

Jednocześnie sama miałam potrzebę pracować, poprzez postać Claudel, własne odczucia. Ona i jej świadectwo służyły mi jako rodzaj medium.

Na tegorocznej Fama po raz pierwszy pokazałaś swój debiutancki solowy projekt. Mocno zaznaczyły się w nim takie kwestie, jak artystyczna wolność, emancypacja kobiet. Czy w najbliższym czasie planujesz kolejne monodramy skupiające się na takich wyrazistych postaciach?

Nie, na razie nie. Tak tragiczna historia niesie za sobą odpowiedni ciężar. Ja odbieram ją bardzo osobiście. Na ten moment chciałabym odpocząć od takich trudnych, wyczerpujących tematów, zregenerować się. Chciałabym eksperymentować z innymi formami wyrazu, innymi formami teatralnymi. Generalnie lubię pracować sama, jestem trochę taką Zosią samosią. Lubię też pracować w grupie, wtedy czuję zbiorową odpowiedzialność.

Monodram jest natomiast o wiele bardziej angażujący psychicznie, wymaga udźwignięcia większej ilości odczuć, wrażeń, emocji. W grupie często da się wspólnie zrobić pewne przejścia emocjonalne –

w czasie występu indywidualnego wszystko spoczywa tylko na Tobie.

Claudel w ogólnej świadomości funkcjonuje jako kobieta-histeryczka. Gdy została zamknięta w szpitalu psychiatrycznym, najbliższa rodzina praktycznie się od niej odcięła, skutecznie sabotowała możliwości powrotu do domu, brat odwiedził ją ponoć zaledwie 12 razy. Czy myślisz, że w obecnych czasach, gdy tyle mówi się publicznie o depresji, choroba psychiczna to nadal tabu? A może dziś stała się tylko ciekawym dodatkiem do artystycznej kreacji?

Traktuję choroby psychiczne dość poważnie. Według mnie to dolegliwości występujące na równi z fizycznymi – są tak samo ważne. Dlatego osobiście nie uważam, by tego rodzaju choroby mogły być zaledwie „ciekawym dodatkiem do kreacji artystycznej”. To byłoby okrutne. Dziś temat schorzeń psychicznych jest powszechny, zdecydowanie przestaje być tabu. Wiele osób ujawnia się ze swoją chorobą – postrzegam to jednak jako wołanie o pomoc.

Za czasów Camille zdecydowanie był to problem wstydlivy. Ludzie przypięli jej łatkę histeryczki, alkoholiczki, nie rozumiejąc źródła problemów. Sądzę, że Camille obyła się bez szpitala, gdyby miała zapewnione odpowiednie wsparcie ze strony rodziny i przyjaciół.

Pewna siebie trzydziestolatka

Agnieszka Matan na co dzień jest związana ze Szkołą Impro i warszawskim Resortem Komedi. Trzydziestolatka; członkini szkoły improwizatorów Hulaj. W zdominowanym przez mężczyzn stand-upie stara się uwypuklić kobiece przedstawicielki tego jeszcze kształtującego się, odmiennego od tradycyjnego kabaretu, czy tym bardziej teatru, nurtu. Socjolożka. Na tegorocznej

Famie wystąpiła ze swoim stand-upem Halo Taxi – Bilans trzydziestolatki.



Agnieszka Matan, fot. Milena Soporowska

Co oznacza dla Ciebie pierwsza część tytułu Twojego jednoosobowego show Halo Taxi? Skąd wziął się na niego pomysł?

Agnieszka Matan: Bardzo dużo jeżdżę taksówkami. To jest moja słabość, taka przyjemność, której nie umiem sobie odmówić. Lubię w taksówkach wszystko, od dzwonięcia po nią, po samą podróż i rozmowy z kierowcami. Zawsze mi się wydawało, że taksówki są po to, żeby dorośli ludzie jeździli do pracy, i w moim przypadku to się zgadza, chociaż zupełnie mnie na nie nie stać.

Halo taxi – Bilans trzydziestolatki to zabawny, ale też bardzo intymny stand-up. Jak sama mówisz, zawarte w nim refleksje są przefiltrowane przez Twoje własne doświadczenia. Opowiadasz o dorosłości, o związanych z nią przywilejach, ale i ograniczeniach. Jaką funkcję pełni dla Ciebie w tej opowieści humor i sama formuła stand-upu?

Stand-up to festiwal egocentryzmu. Przez godzinę stoję na scenie i opowiadam hi-

historię, a ludzie są zmuszeni mnie słuchać. Na razie nikt nigdy nie wyszedł, więc chyba każdy jest w stanie w moich historiach z czymś się zidentyfikować. Komedią można rozbroić każdy trudny temat i to akurat moje narzędzie do przeżycia. Bez komedii byłoby bardzo trudno. No więc stand-up to mój sposób na radzenie sobie z rzeczywistością, a skoro już tutaj wszyscy się znaleźliśmy (nie na Fami, ale w ogóle na Ziemi), to pomagajmy sobie przetrwać. Ja chętnie pomogę swoimi żartami.

Twój występ wymierzony jest w stereotypowe postrzeganie zarówno kobiety, jak i samego wieku. Z jakim elementem tego wizerunku kobiety chciałabyś walczyć między innymi poprzez działania artystyczne? Co Ciebie w jej typowym obrazie najbardziej drażni?

Nie mam poczucia, że robię „kobięcy” stand-up. Po prostu jestem kobietą, taką mam płęć, ale jest to ludzki stand-up, w którym mówię głosem trzydziestoletniego człowieka. Czy z czymś walczę? Może po prostu z prawem do głosu, żeby dziewczyny nie pytały o pozwolenie, czy mogą wystąpić, czy się nadają, tylko żeby próbowały. Raz wyjdzie lepiej, raz gorzej, tak samo jak ich kolegom. Rozśmieszanie ludzi, stanie na scenie to dziwny rodzaj władzy. Żenuje mnie zdanie, że „kobiety też są śmieszne”, bo jest tak banalne, jakbyśmy mówili „psy też mają cztery łapy”, ale niestety wciąż jesteśmy częścią ewolucji: ze świata, w którym kobiety były od tego, by chichotać z żartów mężczyzn i być w drugim rzędzie, do świata, w którym my także głośno opowiadamy żarty.

Organizujesz cykl wydarzeń „Źle sprawowałam się wczoraj w kosmosie – kobiety open mike”, kreując możliwość prezentacji szeroko rozumianej twórczości artystycznej kobiet – od komedii po poezję, prozę, taniec czy

śpiew. Jak oceniasz pozycję kobiet w świecie sztuki, szczególnie na polu sceny stand-up?

Nie chcę takiego podziału docelowo, nie chcę przez najbliższe 10 lat organizować takiego wydarzenia, ale teraz one są potrzebne. Żeby dziewczyny w różnym wieku trochę się porozpychały, poczuły się pewniej na scenie, nie musiały z nikim walczyć i sprawdziły się na luzie w luźnych alternatywnych formach scenicznych i komediowych.

I na koniec pytanie bardziej intymne: mając tę wiedzę, którą masz, jaką jedną radę dałabyś sobie sprzed 10 lat?

Wspaniałe pytanie, często o tym myślę.

Skup się na swoich potrzebach, marzeniach, pomysłach, a nie na realizowaniu pomysłów swoich partnerów.

Nie pytaj o pozwolenie.

Nie bój się.

Nie pij tyle wódki!

I naucz się innego języka niż angielski, bo potem nie będziesz mieć czasu!

Kobieta w średnim wieku

Marta Grygier, animatorka kultury i pedagog resocjalizacyjna, pracuje z różnymi grupami społecznymi, w tym między innymi z młodzieżą. Wiceprezes stowarzyszenia „Plantacja Wyobraźni” – Mały Dom Kultury; związana z Barlinkiem w województwie zachodniopomorskim; wychowawczyni w ramach Ośrodka Szkolenia i Wychowania OHP, gdzie prowadzi też grupę teatralną. W tym roku w Świnoujściu prezentowała stworzony wspólnie z artystą interdyscyplinarnym Artim Grabowskim monodram-performance *kamica79*.



Dokumentacja spektaklu *kamica79*,
fot. Piotr Nykowski - Poza Okiem

Tytuł *kamica79* odnosi się zarówno do obecnego przez cały monodram rekwizytu, jakim jest kamień, jak i choroby oraz roku Twojego urodzenia. Starzenie się postrzegasz na kształt uciążliwego schorzenia czy może raczej chodzi o to, jak na upływ czasu patrzy społeczeństwo?

Marta Grygier: Tytuł *kamica79* to zabawa słowna. Słowo *kamień* to rodzaj męski, chcąc zamienić go na żeński, wychodzi nam twór mało reprezentatywny. Dla mnie to taka metafora społecznych pozycji, relacji damsko-męskich. Oczywiście rocznik dodatkowo sugeruje, że nadchodzi czas bliskiej współpracy z NFZ.

Jak sama mówisz, opowiadasz o rozterkach dojrzałej Europejki – o jej wyborach moralnych, problemach związanych z rodzicielstwem, relacjach z mężczyznami. Czy zbliżając się do czterdziestki, czułaś potrzebę przepracowania etapu wchodzenia w ten umowny „średni wiek”?

Nie chcę wkręcać się w paranoję odmładzania, upiększania. Chcę nauczyć się przyjmować to, co nieuniknione. Co nie znaczy, że „nieuniknione” jest synonimem ciężaru, udręki i beznadziei. Mając naście lat, byłam młoda, cały świat stał otwo-

rem, ale to był najgorszy okres w moim życiu. Czujemy się dobrze, a czasami źle – bez względu na wiek. Wszędzie mówią o przepracowaniu etapu przejścia w „średni wiek”. Spektakl jest o dojrzałej Europejce, ale ma być dowodem na to, że wiek nas nie ogranicza. Nie chcę też brzmieć jak „ciocia Marta”, która wie, jak żyć. Bo nie wiem; obserwuję i szukam równowagi.

Przyroda ożywiona zostaje w ramach spektaklu animowana. Kamień porusza się nad Tobą niczym wahadło, niekiedy trzymasz go na plecach, nad głową, literalnie obciążając swoje ciało jego symbolicznym znaczeniem. Jaką rolę gra w Twojej praktyce aktorskiej ów dialog z jednym wybranym rekwizytem? Jakie nowe możliwości daje granie z przedmiotem zamiast z żywym aktorem?

Kamień też odpowiada... ruchem, ciężarem, temperaturą. Bywa szorstki, ale też zaskakująco piękny. Jest szczerzy w formie, ale też niewyobrażalnie tajemniczy. Daje ogrom możliwości współpracy. Wygrzewałam się jako dziecko na kamiennych schodach rodzinnego domu przy ulicy Górnej w Berlinie. Te schody były miejscem sąsiedzkich spotkań. Budynku już nie ma, a schody pozostały. Od tej myśli zaczął się scenariusz *kamicy*. Zastanawiając się nad ich niezniszczalnością, wracam do słów Bruce’a Lee na temat „kropli, która draży skałę”.

Oprawa scenograficzna *kamicy79* jest minimalistyczna, ale jednocześnie atawistyczna – niekiedy przywodzi na myśl scenerie pradawnych rytuałów, podczas gdy Ty poruszasz tematy z codziennej, często banalnej rzeczywistości. Co chcesz osiągnąć poprzez taki dysonans?

Codzienna rzeczywistość jest rytualna. Nie ma dysonansu. Od pradawnych czasów za

dużo się nie zmieniło – tylko rekwizyty/ przedmioty, które nas otaczają. Przez co sam obrządek/nawyk wygląda ciut inaczej.

***kamicę79* określa się jako spektakl „naturalistyczny”. Cała uwaga widza skupia się właściwie na Tobie – Twoje ciało przybiera przeróżne, często absurdalne pozy, twarz zmienia się pod wpływem kuriozalnych grymasów. Czy taką wyrazistą ekspresję, sytuującą ciało gdzieś na granicy brzydoty, interpretujesz, biorąc pod uwagę niezmiennie przylegające do *nomen omen* płci pięknej stereotypy, jako moc wyzwalającą?**

Etap pracy nad *kamicą* był wyzwalający. A w codziennym życiu nie boję się stanąć

na granicy brzydoty i nie prasuję spodni, gdy idę wyrzucić śmieci.

Temat kobiet ma wiele poziomów. Spotykałam dziewczyny nieporadne życiowo, słyszę o cierpieniu kobiet na świecie i zastanawia mnie, jak bardzo nie pasuje do nich sformułowanie „płeć piękna”... Potem patrzę w lustro i do mnie ono też nie pasuje. To ogranicza i osłabia! A jak coś mnie ogranicza, to „ciosam swój pancierz” i robię wszystko, aby „żaden kamień do mnie nie doleciał”.

P.S. Oczywiście nie ma nic złego w dbaniu o siebie. A grymasy robię, bo mogę... bo boks też mnie nie ogranicza.

Sztuce trzeba pomagać

Dawid Panic, Witold Regulski

Akcja *Zaprosz Famię do siebie* została zainaugurowana podczas 45. edycji festiwalu w 2015 roku w ramach sekcji animacji kultury. Cel przedsięwzięcia był prosty – przeniesienie festiwalowych wydarzeń do jak największej liczby miejsc w Świnoujściu i dotarcie tym samym do jak najszerszego grona odbiorców. Wszystko wskazuje na to, że projekt już na dobre zagościł w programie Famy. Postanowiliśmy zatem odwiedzić lokale, których gospodarze wyrazili chęć ugoszczenia famowiczów podczas tegorocznej edycji.

Przez lata zdecydowana większość koncertów i występów odbywała się na scenie Jazz Clubu Scena. Niestety, lokal został zamknięty i choć na potrzeby zeszłorocznej Famy Scenę reaktywowano, już wtedy

wszyscy wiedzieli, że klub czeka definitywny koniec. Organizatorzy stanęli przed wyzwaniem znalezienia nowego domu dla wydarzeń, które dotychczas odbywały się w utożsamianym z festiwalem klubie. Część

z nich została przeniesiona do obiektów użytkowanych przez miasto, jak Miejski Dom Kultury czy Muszla Koncertowa na promenadzie. Wiele koncertów odbywało się w Hali Basenu Północnego, ale potrzeba współpracy z innymi lokalami nigdy nie była tak paląca, jak w tym roku.

Jednym z lokali, który bierze udział w *Zaproś Famę do siebie* od samego początku, jest bar letni Hamaki. Znany z meksykańskiego menu bar szybko stał się integralną częścią festiwalu. Związek Famy z Hamakami jest tym bardziej ciekawy, że trwa niemalże od samego początku ich istnienia. Podczas tegorocznej edycji w Hamakach odbyła się także konferencja prasowa otwierająca festiwal oraz tzw. *before party*. O początkach współpracy opowiada Anna Winiarska, właścicielka baru:

– Jako że był to początek działalności Hamaków, stresowałam się trochę organizacją lokalu i zaproszeniem Famy. Zawsze w festiwalowych wydarzeniach uczestniczyłam z drugiej strony, jako odbiorca. Nawet kiedy mieszkłam poza Świnoujściem, starałam się wziąć urlop w pracy, żeby przyjechać tutaj choćby na tydzień.

To właśnie osoby, które już wcześniej miały okazję uczestniczyć w festiwalowych wydarzeniach, najczęściej wyciągają pomocną dłoń w stronę organizatorów. Chwalą Famę za atmosferę, kultywowanie związanych z miastem od dekad tradycji i chęć tworzenia sztuki. Na przestrzeni wielu lat festiwal stał się przecież wizytówką miasta. To, by Famy było w Świnoujściu jak najwięcej, powinno zatem leżeć w interesie nie tylko samych organizatorów i uczestników, ale też właśnie mieszkańców.

– Podczas Famy trochę się zmienia życie w mieście, jego rytm i klimat. To jest przyjemny oddech na koniec sezonu – mówi Anna Winiarska. – Życie moje i moich zna-

jomych na te kilkanaście dni zmieniało się, jeszcze zanim otworzyłam Hamaki, i teraz tak samo na ten czas zmienia się życie lokalu. Dla mnie to było i jest naturalne, że posiadając bar letni, zaproszę festiwal do siebie.

Poza konferencją i imprezą otwierającą festiwal w Hamakach odbył się też pierwszy koncert. Zagrał debiutujący na tegorocznej Fami zespół IKSY. Zapytaliśmy Radka i Agatę, czyli dwie trzecie grupy, o to, czym różni się koncert w klubie muzycznym od minikoncertu plenerowego.



Iksy, fot. Marta Smerecka

– Grając w różnych miejscach, tak naprawdę sprawdzamy siebie. Musimy dostosować się do takich, a nie innych warunków. Dzięki temu sami odkrywamy, czego nam brakuje i nad czym musimy popracować – mówi Agata.

Koncertowanie w lokalach i ogródkach restauracyjnych staje się wyzwaniem. Młode, przyzwyczajone do gry w muzycznych klubach zespoły często muszą ograniczyć swoje instrumentarium oraz dostosować repertuar do okoliczności i specyficznej – w części skupionej na konsumowaniu posiłków, a nie na koncercie – widowni.

– Występując w Hamakach, bez żadnych efektów, bez kompresora, musieliśmy zagrać tak naprawdę całkowicie akustycznie i to nas popchnęło w kierunku nowych aranżacji i pomysłów – podsumowuje Radek.

Famowi debiutanci mówią także o wielkim wrażeniu, jakie wywarła na nich możliwość zagrania koncertu na plaży, na scenie przygotowanej dla artystów Famy przez KiteFORT, najnowszego uczestnika akcji zapraszającej festiwal do siebie. O wrażeniach z koncertów, które odbyły się w bazie sportów wodnych usytuowanym na skraju świnoujskiej plaży, rozmawiamy z Mariuszem Magońskim, właścicielem obiektu. Pytamy go o to, co skłoniło go do podjęcia współpracy z festiwalem.

– Nie ukrywam, że staramy się ściągnąć do siebie jak największą liczbę gości. Chcemy, żeby jak najwięcej rzeczy się u nas działo. To miejsce od początku miało skupiać wokół siebie młodzież, w tym fanów muzyki. Wiele z tych osób, które regularnie odwiedzają KiteFORT, chciało, żeby pojawiła się tutaj muzyka, i staramy się coś organizować nawet wtedy, kiedy nie ma Famy – odpowiada.

Wśród wielu wspomnień z zeszłorocznej Famy w pamięci utkwiło nam zadawane z nutką rozczerowania w głosie pytanie części uczestników: „Jak to możliwe, że na festiwalu odbywającym się nad morzem żadne wydarzenia nie mają miejsca na plaży?”. Umyślna czy nie, tegoroczna współpraca z KiteFORT stała się zatem odpowiedzią na życzenia famowiczów. Piaszczysta plaża, szum morza, czyste niebo i widok na przepływające łódki i statki – nie da się ukryć, że KiteFORT okazał się być wręcz wymarzone miejsce do koncertowania.

– Jeżeli jest dobra pogoda, mamy świetne warunki akustyczne – krótko podsumowuje właściciel.

W rozmowie pan Mariusz chwali się udanym początkiem współpracy z Famą. W KiteFORT zagrały między innymi IKSY, Hey Hato, Fox in the Box oraz zespół UGLA. Ta ostatnia grupa podczas tegorocznej Famy wystąpiła dwukrotnie – w oczekiwaniu na spektakularny show na plaży dała kameralny i klimatyczny występ w kawiarni El Papa – Cafe Hemingway. Przy okazji tego drugiego wydarzenia rozmawiamy z Elżbietą Jańczak, która kawiarnię prowadzi wspólnie z synami.



Łukasz z Bałut, fot. Marta Smerecka

Tegoroczna edycja Famy jest drugą, podczas której El Papa – Cafe Hemingway współpracuje z organizatorami festiwalu. Panią Elżbietę pytamy, czy zaangażowanie się w akcję *Zaproś Famę do siebie* było procesem skomplikowanym.

– O programie w ubiegłym roku dowiedzieliśmy się z mediów i po prostu napisaliśmy na podany adres – te słowa pani Elżbiety powinny być jasną odpowiedzią dla tych właścicieli, którzy obawiają się niekończących się formalności.

Kawiarnia El Papa – Cafe Hemingway współpracę z Famą rozwija z roku na rok. W zeszłym roku w jej ogródku odbywały się

koncerty, w tym roku lokal gościł też pokaz twórczości festiwalowej sekcji literackiej.

Sama kawiarnia utrzymana jest w literacko-artystycznym wystroju i taki też klimat w niej panuje. Ta artystyczna aura zdaje się działać na wyobraźnię famowiczów, bo ci kawiarnię rokrocznie odwiedzają nie tylko podczas wydarzeń. W „Hemingwayu” zawsze mogą liczyć na ciepłe przyjęcie oraz okazjonalne rabaty. W lokalu – nie tylko w czasie Famy – regularnie organizuje się koncerty, wystawy czy spotkania autorskie. – U nas bywają młodzi ludzie, czytają poezję. Jakiś czas temu odwiedziły nas dzieci z przedszkola, panie czytały dzieciom wiersze, a one, widząc książki, płyty, obrazy i saksofon wiszący na ścianie, po prostu oniemiały – mówi Elżbieta Jańczak.

Właściciele lokalu zdają sobie sprawę z tego, że współpraca z Famą to promocja młodych artystów, często w przyszłości wielkich gwiazd, ale też reklama dla lokalu i miasta. Oczywiście, wśród mieszkańców miasta można natknąć się na przeciwników

Famy, grupa osób popierających festiwal jest jednak znacznie większa.

– A tym, którym w piękny, słoneczny dzień jest na ulicy za głośno, mówimy: zapraszamy – dodaje właścicielka kawiarni.

Od kiedy akcja ruszyła w 2015 roku, Fama była, jest i prawdopodobnie również w przyszłości będzie zapraszana do klubów, kawiarni i innych lokali. Fama to w końcu przede wszystkim pasjonujący się sztuką młodzi ludzie, którzy żyją tym, co robią. Raz w roku przyjeżdżają oni do Świnoujścia po to, żeby tworzyć i dzielić się swoją twórczością z każdym, kto ma ochotę z nią obcować. Niezależnie od tego, czy jest to muzyka, teatr, stand-up, improwizacja czy literatura, młode pokolenie chce tutaj spełniać swoje marzenia. Dzięki *Zaproś Famę do siebie* może ono dzielić się nimi z jak najszerzą publicznością. Także z tą, do której nasza twórczość mogłaby nie dotrzeć, gdyby nie życzliwość ludzi chętnych gościć festiwal u siebie.



Hey Hato, fot. Marta Smerecka

Zróbmy sobie spektakl

Nina Paśniewska

Radykalne zmiany w sztuce dzieją się nagle i niespodziewanie, wyrzucając znane normy formalne i konwencje na stertę zużytych motywów. Teatr – ojciec wszelkich sztuk scenicznych – najbardziej wyraźną dla ogółu społeczeństwa rewolucję przeszedł wraz z pojawieniem się Williama Shakespeare’a i do zaproponowanej przez niego formy podawczej sztuk jest ono wciąż przyzwyczajone. Propozycją dla współczesnego widza, który niekoniecznie interesuje się teatrem jako nauką i gatunkiem sztuki, może być impro, czyli teatr improwizowany, który zawitał na tegoroczną edycję Festiwalu Fama.

Spektakl na podstawie SMS-a

Teatr improwizowany narodził się w USA, został oparty na autorskim programie szkoleniowym dla aktorów, opracowanym przez Violę Spolin – nauczycielkę aktorstwa, oraz na działaniach Keith’a Johnstone’a na rzecz uprzystępnienia teatru zwyczajnym ludziom i propagujących sztukę improwizacji.

Impro to nowa, swobodniejsza w tworzeniu i odbiorze forma. Spektakle powstają bezpośrednio na scenie w czasie rzeczywistym – nie istnieje żaden uprzednio przygotowany scenariusz. Bazą dla scen, które odgrywają aktorzy, są podpowiedzi i sugestie publiki, pozyskiwane na bieżąco: raz prosi się widza o przeczytanie ostatniego SMS-a, jakiego otrzymał, innym razem zaprasza się jedną osobę z widowni na scenę i prosi o opowiedzenie swojego dnia; improwizatorzy użyczają od widzów książki, gazety, ulotki (jeżeli ktoś z zebranych takowe posiada) i wybierając losowy fragment, czytają go na głos, przyjmując za główną inspirację dla całego spektaklu.

– To jest nieobliczalne, możemy być, kim chcemy, bo w teatrze jest jednak ograniczona liczba postaci. Tutaj możesz być sło-

niem, Cezarem, koniem Cezara – mówi Natalia z wrocławskiej grupy improwizacji irga, działającej aktywnie od 2016 roku, która prezentowała swoje umiejętności na tegorocznej Fama. W Młodzieżowym Domu Kultury stworzyli scenki między innymi na podstawie zdania „Wygrałem dzisiaj w tolotka”, fragmentu *Quo vadis* Sienkiewicza czy harmonogramu wydarzenia obchodów akademii policyjnej jednego z ośrodków wojewódzkich (który przypadkowo miała przy sobie jedna z famowiczek).

Cieszyć się z ludźmi, których lubisz

Improwizacja to najczęściej komedia, ale nie zawsze, opierająca się na relacjach partnerskich między improwizatorami. Improwizować może każdy, nawet osoby bez przygotowania aktorskiego, co potwierdza Krzysztof z irgi:

– Nie mam żadnego doświadczenia aktorskiego, do impro doprowadziła mnie szeroko rozumiana zajawka – zobaczyłem spektakl i było to, z punktu widzenia komediowego, na tyle dla mnie nowe i odświeżające, zaskakujące, że bardzo mi to zaimponowało: że jest zabawne, mądre, a aktorzy robią to w chwilę.

Początki w impro są bardzo proste: Piotr – wysoki, charakterystyczny dzięki zachrypniętemu głosowi, członek irgi – przekonuje, że próg wejścia w improwizację jest bardzo niski – wystarczy przyjść na warsztaty prowadzone przez różne ośrodki improwizacji albo skrzyknąć się z grupą znajomych i zacząć ćwiczyć.

– Improwizacja polega na tym, że tworzymy tu i teraz, bez żadnych większych przygotowań, każdy to może robić tak *ad hoc*, ale żeby to robić na poziomie, w którym czujemy się dobrze, na pewno są potrzebne tygodnie i godziny, żeby się zgrać – dodaje Piotr.



irga, fot. Marta Smerecka

Obecnie w Polsce można wyróżnić kilka miejsc, w których scena impro pręźnie się rozwija: Wrocław, Warszawa, Kraków, Gdańsk, Bydgoszcz czy Zielona Góra. W niektórych miastach działają ośrodki edukacyjne, takie jak wrocławska Akademia Improwizacji czy warszawska Szkoła Impro, które szkolą nowych adeptów tej sztuki.

Niech impro idzie w świat!

Na tegorocznej Famie zaprezentowały się wrocławska irga oraz grupa improwizatorów i improwizaterek ze składu warszawskiego Resortu Komедии z projektem „Spektakl w ciemności”. Wykorzystując czas po spektaklu, zapytałam członków

irgi, dlaczego zdecydowali się przyjechać do Świnoujścia na swoją pierwszą Famę.

– Dlaczego chcieliśmy zagrać na Famie? – powtarza po mnie pytanie Piotr. – Często jest tak, jak grywamy dla swojej publiczności, albo grywamy na festiwalu improwizacji, że tamta publika wie, czego się spodziewać. A przyjeżdżamy na Famę, gdzie część osób wie, a dla części osób to jest zupełnie coś nowego. A my chcemy zarażać tą sztuką, pokazywać ludziom, że istnieje coś takiego, bo to jest jeszcze młoda sztuka w Polsce, a chcielibyśmy, żeby jak największej ludzi się nią interesowało, przychodziło na spektakle i tworzyło impro.

– Szukamy nowych wyzwań, chcemy spróbować nowych rzeczy, bo przeważnie teraz gramy u siebie we Wrocławiu – dodaje Marcin. – Dostajemy zaproszenia na różne festiwale i trochę próbujemy grać w innych warunkach, nie tylko swoich, w których dobrze się czujemy – to dla nas ciekawe doświadczenie.

– Samo Świnoujście i festiwal ma swój klimat, który mnie wciągnął – mówi Piotr. – Jest dużo młodych ludzi, którzy robią różne rzeczy, i to jest fajne, że poznajemy nowe osoby, mające swoje zajawki.

Patrząc na specyfikę Famy, na której sztuka tworzona jest tu i teraz, z zaskoczenia i zniechęca, improwizacja teatralna ze swoją nieprzewidywalnością i pozytywną energią powinna zaskarbić sobie sympatię famowiczów.



TORPEDA LUDU

Autobiografiction (fragment)

Dawid Panic

Leżeliśmy na boisku i patrzyliśmy w gwiazdy. Tak odległe i tak nieosiągalne, jak każda inna przyszłość niż ta, w której zestarzejemy się na tym samym osiedlu, co nasi rodzice. Przyszłość, w której będziemy spędzać wieczory w tych samych knajpach, pijąc to samo piwo; czuć ten sam powiew wolności, wyjeżdżając w te same miejsca na wakacje. Patrzyliśmy na lipcowe spadające gwiazdy z roju perseidów, przedwczesne, niecierpliwe, jak my, niecierpliwi, żeby się stąd wyrwać. My, skaliste planety wewnętrznego układu planetarnego – zwanego Osiedlem Nowiny – oddzieleni pasem asteroid od gazowych gigantów, tak majestatycznie niewzruszonych wirującymi w ich atmosferach gigantycznymi burzami, tornadami wielkości kontynentów, które podziwialiśmy, jak systemowe wygaszacze na ekranach monitorów pierwszej generacji LCD. Tak było. A byliśmy młodzi i nieustraszeni, jak pierwsi astronauty na Marsie, i podrywaliśmy dziewczyny, mówiąc im, że marzymy o gwiazdach, tak naprawdę chcąc być tylko choć trochę większymi planetami.

Byliśmy nieustraszeni odwagą pójścia do sklepiku „U Krysi” po piwo – tak, jak się nie ma jeszcze osiemnastu lat i wysyła się tego kolegę, któremu wyrosły już nieco mniej kompromitujące cienie na brodzie. Adrian szedł krokiem pełnym pewności siebie. Dwadzieścia lat później – ostatni raz, kiedy spotkaliśmy się w czwórkę, w trójkę i w ogóle – pijąc tanią whisky nad jego grobem, powiemy sobie, że nigdy wcześniej, a na pewno nigdy później w życiu, nie szedł z taką pewnością siebie, jak wtedy do sklepiku „U Krysi”.

Był lipiec, początek wakacji, upał, bezchmurne niebo. Adrian miał czarną koszulkę. Było mu ciepło. Chyba trochę za ciepło, bo choć ustaliliśmy, że wszyscy chcemy pić tyskie, on w ostatniej chwili, spotykając za ladą nieprzeniknione spojrzenie Krystyny, wypalił:

– Poproszę trzy tyskie i jedną tatrę. W butelce. Z lodówki.

Jakby słońce, przez tę czarną koszulkę, wypaliło mu ze skóry całą pewność siebie. Dlaczego wybrał tatrę – nie wiem. Jak ma się czternaście lat, wie się niewiele rzeczy, ale się wie, że tyskie to prawdziwe piwo, a tatra to szczyń słodzony karmelem. Jasne, że się ją pije, ale jak nie ma nic innego, tylko jak jest ostatecznością, jeśli akurat się ją dostało, skądś, od kogoś i po prostu się ją **ma**. Ale jak ma się wybór, nawet tak niepewny, jak **mogę-se-wybrać-piwo-jakie-chce-ale-nie-wiadomo-czy-sprzeda**, to się wybiera wszystko tylko nie tatrę, już nawet żubr czy harnaś, nowe propozycje kompanii piwowarskich, próbujące zdetronizować tatrę z pozycji króla piw budżetowych – są o wiele lepsze w smaku, a na dodatek reklamy w telewizji mają nawet fajne.

A on wybrał tatrę. Nawet kiedy już wiedział, że sprawa jest wygrana. Bo Krysia powiedziała, że z lodówki to mają tylko tyskie; tonem głosu sugerując mu, że może popełnia największy życiowy błąd, wybierając ciepłą tatrę, i za szesnaście lat będziemy przez tę jebaną tatrę pić jego zdrowie na stypie, na którą schorowana matka wydała ostatnie pieniądze, on i tak wolał ciepłą tatrę niż

zimne, dobre, polskie, goryczkowe tyskie (no, sorry, to było jeszcze długo przed tym, jak ten browar się sprzedał i robili wtedy naprawdę dobre piwo, no!).

Może gdybyśmy wiedzieli, że wybrał ją po prostu z powodu prozaicznej nostalgii, z sentymentu, bo to nie było jego pierwsze piwo, tak jak nasze, i wybrał ją dlatego, że właśnie tatra była jego pierwszym piwem, wypitym na dodatek chwilę przed pierwszym seksem. Bo właśnie takie piwa akurat jego matka miała w domu (i nie trzymała ich w lodówce, bo akurat była po anginie), kiedy on przyprowadził do domu koleżankę z gimnazjum, której podobała się jego bródka, trochę dziwna, o której ktoś kiedyś powiedział „pedalska jak Koziołek Matołek”, cokolwiek to znaczyło. Koleżankę, która była trochę bardziej odważna niż inne, i kiedy na piżama party oglądały pornosa znalezionego przez Martę na komputerze starszego brata (zdążyły obejrzeć tylko scenę seksu oralnego, w której – jako że film pochodził jeszcze z czasów przed manią na depilację wszystkiego wszędzie – dziewczyna w natapirowanych włosach zachłystywała się nabrzmiałym peniszem wyrrywającym się z gąszczu czarnych kręconych włosów łonowych), wszystkie mówiły jednogłośnie „fuj” i „ble”, ona była jedną z tych, co wcale nie myślała „fuj” i „ble”, ale myślała o tym, jakie to uczucie wepchnąć sobie penis kolegę tak głęboko do ust. Kilka penisów już widziała – dzięki zabawom kolegów z obozów młodzieżowych, polegającym na ściąganiu sobie nawzajem kąpielówek z nienacka od tyłu – ale zawsze spokojne i zwisające, a nie tak agresywnie sprężyste jak ten na filmie, i tak ciepłej jej się robiło, jak ciepło robi się po ciepłej tatrze, ale w miejscach, w których rzadko robi się ciepło, nawet po ciepłej tatrze.

Pani Kryśka podreptała na zaplecze do lodówki, bo było to w czasach, w których nie wszystko musiało być własnością kom-

panii dostarczającej wszystkie marki piwa w osiedlowym sklepiku – a już na pewno, zanim każdy osiedlowy sklepik splajtował na rzecz Żabki – i wystawione w obrabowanej lodówce, na wejściu rzucającej łapczywie się na klienta.

- Tatrę mam tylko ciepłą.
- Może być – odpowiedział Adrian.

* * *

- I to był moment, kiedy się zgubił; kiedy zaczął się ten cały syf, przez który teraz tu jesteśmy – powiedziałem, stojąc nad czymś, co zdawało się przypominać jeden z tych kopców kreta, jakie nieraz uklepywaliśmy na osiedlowych trawnikach służących nam za boiska – tylko większy, jakby usypało go jakieś stworzenie żyjące w czasach, których nie mogliśmy pamiętać, których nigdy byśmy nie zrozumieli.



24-kluczyk-3319

Nina Pańniewska

Przy bramie stała wysoka samica, okutana w zielony materiał, boląco pstry i srokaty dla oczu na tle ceglanych ścian. Wpisywała kod do domofonu: dwadzieścia cztery, kluczyk, trzy, trzy, dziewiętnaście, a jej nozdrza rozszerzały się, gdy słyszała sygnał odmawiający otwarcia. Chudą nóżką kopnęła ścianę, z której osypał się tynk (ceglasta atrapa), bo nowe bloki kruszą się najłatwiej, zostawiając na ulicach ślady agresji swoich mieszkańców. Dwadzieścia cztery. W końcu były to drzwi do jego mieszkania – jej dawnego legowiska, które obecnie zamieszkiwał on – samiec o zgarbionej posturze, i poprawny kod był kombinacją w kształcie litery zet: dwadzieścia cztery, kluczyk, jeden, trzy, cztery, sześć. Z zapamiętaniem innej mógłby mieć problem.

– Ej, czemu napierdalasz w moją ścianę? – zapytał ją, pozornie spłoszony tym, że ktoś najprawdopodobniej próbuje włamać mu się do mieszkania.

– A skąd wiesz, że to nie jest też moja ściana?!

Pod wpływem przytapania przez osobnika z innego stada głos samicy podwyższa się średnio o dwa tony, sygnalizując niepewność, a jednocześnie próbując przepłoszyć wroga nieprzyjemnym skrzekiem.

– Bo próbujesz wpisać kod do mojego mieszkania!

Samiec, rozdrażniony, odpycha intruzkę z prawego bara, nie zważając na jej zieloną sukienkę i szcuple posturę.

– Aua, co ty robisz?! Trochę szacunku!

W przyptywie złości, osaczona, samica zaczyna się rzucać: najpierw słownie, choć w tym przypadku do rękoczynów nie dojdzie. Ten gatunek jest za słaby, aby bronić się bezpośrednio, dlatego stosuje pasywne taktyki.

Samiec spogląda na samicę. Choć dostrzeż jej urodę, nie przystania mu ona niebezpieczeństwa, jakie może mu grozić z jej strony.

– Czego tu szukasz? – pyta ją łagodnym tonem, tak aby uspić jej czujność, rozszerzyć jej źrenice, doprowadzić do zwiótczenia napiętych mięśni.

– No, dobra – mówi już spokojnie, chowając główkę w ramiona. – Tutaj mieszka, to znaczy: chyba mieszkał, mój były... i tak chciałam po prostu... zobaczyć... czy on...

Doprowadziwszy samicę do emocjonalnego rozchwiania, samiec wie, że nic mu już nie grozi, że jego deweloperskie terytorium nie zostanie przejęte. Patrzy z zaciekawieniem na prawie płaczącą wariatkę i nie robi to na nim żadnego wrażenia. Samiec należy do gatunku odpornego na przeżywanie uczuć; nie dopuszcza ich do głosu, bo jest przewodnikiem swojego jednoosobowego stada, a jako przywódca musi być zawsze czujny. Bez słabości. Lubi więc drzwi zamykane na kod; lubi pancerne windy, w których mija się z osobnikami dzielącymi z nimi ceglane terytorium bez nawiązywania kontaktu foniczno-wzrokowego; lubi swoje antywłamaniowe drzwi, do których dorobienie kluczy kosztuje siedemdziesiąt złotych, wyposażone dodatkowo w zasuwkę.

Lubi być sam w swoim świecie. Lubi mieć swój świat, biały i czarny, samowystarczalny; całą resztę ogląda zza przeszklonego terrarium na ósmym piętrze. Wie, kiedy dochodzi do kopulacji sąsiadów z legowiska naprzeciwko jego; wie, kiedy w sąsiednim dochodzi do konfliktu, bo wtedy jego przywódca zawsze pali fajkę na balkonie, choć wedle prawa osiedlowego jest to surowo zakazane; wie, kiedy do najmłodszych samic na terytorium bloku przychodzi stadko zaprzyjaźnionych z innej dzielnicy; wówczas z dołu dochodzą go piski i dźwięk butelek wrzucanych po nocy do zsypu.

Na szczęście, klatka numer dwadzieścia cztery, z nazwiskiem opisanym eleganckim fontem na złotej tabliczce, jest tylko jego – samca alfa z gatunku *Mojus mojsusz najmojsusz*.

Dlatego zostawił płaczącą samicę pod domofonem, nie czując absolutnie nic poza rozdrażnieniem. Nawet uroku jej wiosennego, zielonego płaszczyka, który na tle czerwonej cegły mieni się pięknie i zdaje pstrym i srokatym.

Najgłębsze wody

Agnieszka Horodyska

Odgarnął z czoła mokre włosy i wyszedł na piasek. Plaża była prawie pusta, a on czuł się winny, samotny i przelęknięty. Silne fale uderzały o brzeg. Zaczął wracać do pensjonatu.

– Ciepła woda? – zagadał właściciel – mężczyzna siwy, energiczny, zachowawczy i otwarty.

Zagadka. Jacek odpowiedział samogłoską nieistniejącą w języku polskim. Droga przez ciemny las oduczyła go używania mowy. Tylko niewyraźna myśl zaświtowała mu w zamroczonej głowie – o tym, że ten nieprzyjemny facet jest od niego wyższy i lepiej zbudowany.

Jacek przyjechał do Jastrzębiej Góry zaledwie przed tygodniem, a już czuł, że owa ożywcza świeżość, która zawsze towarzyszyła mu w nowych miejscach, ustępuje chaosowi zbyt gęstemu, żeby swobodnie myśleć i żyć. Córka właściciela, z początku tajemnicza i miła, już była skażona jego własną nieporadnością. To samo stało się z jego pokojem, z gośćmi, z psem, a nawet z nieskończonym i dzikim Bałtykiem, któremu nic nie zdawało się zagrażać.

Jego winą było jego samotne istnienie, jego kłamstwa, a wreszcie – jego cholerna nieporadność i niepozbywanie. Ciążył na nim gniew tak potężny, że mógł pochodzić tylko od Boga albo... ale nie, w końcu nie był dzieckiem.

Zdjął już mokre kąpielówki i założył pi-dżamę, gdy usłyszał zdecydowane puka-nie. Ożyła w nim nadzieja, że zaraz spotka kogoś, kto go wybawi, uniewinni i spojrzy oczami córki właściciela. Ale był to sam właściciel.

- Przepraszam, że pana nachodzę. Wyda-wało mi się na dole, że coś się stało. Czy czegoś pan potrzebuje?

Jacek zerknął na niego oczami zamglonymi gniewem i upokorzeniem. Z całą mocą ude-rzyło w niego wspomnienie samotnej noc-nej kąpieli - najbardziej szalonej i niebez-piecznej rzeczy, na jaką kiedykolwiek się odważył. Chwila ciemnej, ciężkiej i lepkiej wolności. Czy w ten sposób ma za nią pła-cić - spowiedzią wobec nadopiekuńczego, zbyt silnego staruszka?

- Nic się nie stało - udało mu się odpowie-dzieć.

- Cieszę się. Pan studiuje, tak?

- Właśnie piszę licencjat - wymamrotał Ja-cek, zdziwiony, że siła jego emocji nie wy-rzuciła jeszcze właściciela za drzwi.

- No, lepiej jutro pogadajmy. Nie będę pana męczył po nocach. Dobranoc.

- Dobranoc - odparł Jacek, a gdy tylko drzwi się zamknęły, wiele razy wbił pięść w puch poduszki.

Było już po dwudziestej trzeciej - godzina po jego czasie snu, ale znalazł czyste ubranie i wciągnąwszy je szybko na siebie, wybiegł z pensjonatu. Przy bramie znów spotkał właściciela.

- O, jeszcze pan wychodzi?

W odpowiedzi Jacek zamierzył się i ude-rzył powietrze tuż przed twarzą siwego pana. W ostatniej chwili się powstrzymał, ale chyba mimo wszystko lekko musnął pięścią ciepły policzek. Właściciel nie zdą-żył się odsunąć, jednak w jego oczach poja-wił się strach. Jacek uciekł, zanim doczekał

się reakcji. Był szczęśliwy, gdy biegł pustą drogą do centrum Jastrzębiej Góry.

Wystarczył jeden łyk zimnego piwa w tłocznym lokalu, żeby minęło uczucie ra-dosnej satysfakcji, wolności ciężkiej od te-stosteronu. Organizm, nieprzyzwyczajony do alkoholu, szybko zaczął funkcjonować na nowych zasadach. Wstyd i poczucie winy były wyraźne i ogromne, ale większa była też odwaga. Dopił piwo i podszedł do samotnej dziewczyny, która nie okazała się córką właściciela. Była jednak urocza - w ciemnej, kwiecistej sukience, z warko-czem, z wystraszoną twarzą.

- Jacek - przedstawił się tonem męskim i zdecydowanym.

- Asia - odparła dziewczyna i podała mu rękę.

Taki początek znajomości wydał się Jacko-wi doskonały.

- Co tak siedzisz sama? - zagadał, dumny ze swojej elokwencji.

- Mam gorszy dzień - odparła i trudno było wątpić w jej szczerość, zwłaszcza że spoza mgiełki smutku wyglądała silna osobowość.

Jacek przestraszył się i poddał irracjonal-ne-mu impulsowi.

- Ja mam gorsze życie - powiedział tak ci-cho, że tylko osoba empatyczna i delikatna nie poprosiłaby o powtórzenie i domyśliła się sensu wymamrotanych słów.

- Chodź, pogadamy na zewnątrz - zapro-ponowała.

Wyszli z knajpy i udali się w stronę morza przez tłum bawiących się ludzi. Jacek czuł się coraz gorzej.

- Może znajdę cię na Facebooku? - spy-tał bez sensu, z braku innych pomysłów.

Nie miał na razie odwagi na zwierzenia.

- Jestem Gromadzka. A ty?
- Kaczmarek.
- Naprawdę? - spytała dziewczyna i po raz pierwszy się roześmiała. - Pewnie każdy cię pyta, czy grasz na gitarze.
- Czasami pytają - odparł z niepewnym uśmiechem. - Nie gram.
- No, to mów, co z tym gorszym życiem.
- Może ty mi opowiedz pierwsza o tym dniu?
- Nic takiego. Pokłóciłam się z przyjaciółką. Pewnie jutro będzie już w porządku.
- A powiesz, co się stało?
- Chyba mogę ci powiedzieć. Wydaje mi się, że to zrozumiesz. Od początku wyczułam w tobie coś bliskiego...

Jacek rósł, pęczniał i milczał.

- Mam problemy ze snem, a Ania co noc wraca koło czwartej. Nie stać nas na osobne pokoje. No i dziś pierwszy raz poruszyłam temat, a ona zaczęła mnie atakować. Powinnam się do tego wreszcie przyzwyczaić, bo zawsze szybko jej przechodzi i przeprasza.
- Może wynajmę ci pokój? - spytał Jacek, gotowy na okazanie męskości i wspaniałomyślności.
- Daj spokój, w końcu się dogadamy. Ale bardzo ci dziękuję - dodała powoli i ciepło na widok miny Jacka. To pomogło.

Usiedli na plaży.

- Powiesz, co z tym życiem? - spytała.
- Spróbuję - odparł Jacek i wpatrzył się w ciemne fale, nad którymi dopiero co wleciało kilka lampionów. - Za mało się modłę - stwierdził. Asia nie okazała najmniejszego zdumienia tym nagłym skokiem na najgłębsze wody. - Ciągle mam nieprzyzwoite myśli - spowiadał się. - Ciągle coś robię źle. Ulegam pokusom. Myślę tylko o sobie, a nie o Bogu. - Asia milczała, a morze akompaniowało. - Poza tym robię

złe rzeczy innym ludziom. Dziś prawie uderzyłem właściciela pensjonatu - wyznał cicho.

- Za co?
- Przypominał mi ojca. Traktował mnie jak dziecko. A ojca okłamałem. Myśli, że jestem tu z Bartkiem i Marcinem. Ale oni nie istnieją... - Wobec milczenia, które uznał za życzliwe, mówił dalej. - Ojciec bardzo się o mnie martwi. Nigdzie nie puszcza mnie samego. Robi problem nawet, gdy po dwudziestej pierwszej chcę kupić pepsi w sklepie przy bloku. I to podwójny. „Nie będziesz mógł potem spać. O tej porze lepiej siedzieć w domu”. Nie wiem, jakim cudem zgodził się na ten wyjazd z przyjaciółmi. Mówiłem mu od miesiąca, że Bartek jest bardzo odpowiedzialny, a on mi uwierzył. Powinienem się postawić. W ogóle powinienem być bardziej **męski**.

Ostatnie słowo Jacek wypowiedział tak, jakby na oślep chciał zacumować łódź. Wątpił, że gdy otworzy oczy, odkryje ją bezpiecznie przymocowaną w porcie. Mimo to spojrzął na Asię. Uśmiechnęła się do niego.

- Chcesz popływać? - spytała.

Zamiast odpowiedzieć, rozebrał się do majtek i wbiegł do wody. Nie potrzebował już Asi. Wystarczył mu ten uśmiech i jej propozycja.

Fale były dość silne, ale nie tracił równowagi. Gdy woda sięgnęła mu do szyi, zaczął tańczyć. Był lekki i zwinny. Morze - jego partnerka - cały czas szeptała mu do ucha. Pozwalała mu myśleć. Pozwalała mu czuć. Pozwalała mu szukać, odkrywać i rozumieć. Uniewinniła go.

Na szczęście właściciel nie wezwał policji, ale kazał mu się natychmiast wyprowadzić.

Wyspy szczęśliwe

Łukasz z Bałut

żeby napisać coś o wyspach szczęśliwych
wypadałoby wiedzieć, czym są wyspy

dobrze byłoby wiedzieć również, czym jest szczęście

jeszcze lepiej byłoby wiedzieć czym są wyspy szczęśliwe
ale to trzeba by nie wiedzieć czym jest *all inclusive*

wszak matka natura wyposażyła nas
w cechę zwaną wolnopełnięciem
dryfowaniem inaczej

nie wiesz, gdzie dołyniesz, jeśli nie wiesz dokąd płyniesz
i nie wiesz, czy dołyniesz, jeśli nie wiesz, że płyniesz
proste

w tym metaforycznym znaczeniu podróży
nic nie znaczy, czy jest to woda czy droga
wyspa natomiast może być planetą w oceanie kosmosu

natomiasz 'natomiasz' niekoniecznie stanie się 'zamiastem'
ale zamiast tego wciąż będzie 'natomiaszem'
nawet za miastem

nieczcuralne słowa wplatają się znów
brak słów
polecam polskie piwo pasztet

wyspa i wiatr
i woda
i szczęście
czego chcesz więcej?
no chyba, że *all inclusive*...

nie jestem tak pazerny
wszak o niczym też może być treścią
a może ktoś kocha tu być

myślę, że wyspy szczęśliwe to te myśli, które odizolowały się
od logiki
i robią fiki-miki

oparte o zwrotniki
i trzęsą całą ziemią

a te wyspy to jak oka w rosole
który sam wysublimował się
z czarnej polewki

jak otwarte piwniczne okna
z chłodnym powiewem piwnicy
i świeżym powiewem powietrza
i świeżym powiewem powiewu z odbytu
de profundis

leżaczek zaczyna zapadać się w piach
świat się zaczyna i kończy
rach-ciach
jasności blask
i światła błysk
i gaśnie czar
nie ma już nic

przyptyw, odpływ
to jest to szczęście
miej swoje wyspy



Spółem

Jan Kanty Zienko

Upał, upław, rozgrzane miasto. Między pachwinami Pawła jak przypomnienie lata uporczywie i boleśnie ocierały się o siebie odparzenia. Tak zwany kowboj. Szedł do sklepu, sklepu Spółem, krokiem kowbojem. W wynajętym na wakacyjny tydzień apartamencie w Świnoujściu spali i pachnieli kremem i innymi podobnymi rzeczami członkowie jego rodziny, a przez sen głodnieli, żeby bardziej smakowały im rogaliki i żółty ser, które potem zjedli. Paweł szedł po 1: rogaliki, 2: żółty ser, 3: małe maselko, 4: dwa pomidory, 5: garść śliwek, 6: ajwar, 7: keczup, 8: wodę żywiec, 9: parówki sojowe, 10: małe jajka, 11: puszkę fanty do porannego papierosa, na drogę powrotną. Szedł otyły, czerwony i błyszczący. Każdy krok, który stawiał na chodniku, idąc w rozdeptanych espadrylach

pełnych piasku, bolał go w nienaturalnie gorące i suche stopy, w drgające ścięгна potężnych łydek, w skrzywiony kręgosłup.

Była dziesiąta rano, początek kolejnego dnia wakacji. Po nocy w zapiaszczonym łóżku spędzonej na nieprzytomnym śnie ze zmęczenia morskimi kąpielami przyszedł dzień o wysuszonych na wiór dłoniach, którymi złośliwie pocierał o parcianą torbę na zakupy. Ciarki, susza. Wyjść na takie słońce to jak zacząć dzień od lizania patyczka po lodzie. Dlatego Paweł tego ranka ograniczył swoje horyzonty do minimum. Pod wpływem tropikalnej pieczołowitości – bądź bzika – zaczął układać w głowie piosenkę. Nie rozglądaj się, nie myśl, zajmij się swoim potem, swoim oddechem, temperaturą własnych kończyn, skup się na

jednej powtarzalnej lub banalnej czynności, opuść wzrok, zgarb się, dysz. Tak, albo zupełnie inaczej, podpowiadał mu bzik.

11: fanta, 10: jajka, 9: parówki, 8: woda, 7: keczup, 6: ajwar, 5: śliwki, 4: pomidory, 3: masło, 2: ser, 1: rogaliki i koniec.

Kiedy Paweł był mały to do zastyszanych z radia i Internetu melodii układał teksty z listy zakupów, żeby po drodze o niczym nie zapomnieć. Tego skwarne go poranka, w którego przeddzień umarła Kora, zrobił to znowu, bo od wczoraj nikt nie słuchał niczego innego niż jej piosenek, które wryły się w tegoroczne lato na stałe. Tuptającemu do sklepu jednocześnie wesoło i boleśnie Pawłowi wyszło to mniej więcej tak:

Na melodię: *Falowanie i spadanie*

„Fanta i jaaajka,
Parówki i woda,
Keczup i aaajwar,
Śliwki, pomidory, szkoda”
Ref.
„Masło, ser, rogalik, koniec! × 2
Maaasło,
Maaasło,
Ser, rogalik, koniec”.

Kupił wszystko, zapłacił 52 złote. Drogo. Kasa rodziców.

Wracał tą samą trasą. Poniemieckie bazaltowe kostki brukowe na chodniku piekły go w stopy jeszcze silniej, ponieważ spędził w sklepie jakieś pół godziny. W płaskich butach czuł każdą nierówność, każdy korzeń. Na domiar cierpienia jego ręce wyschły już całkowicie i teraz każde zetknięcie z materiałową torbą lub paskiem równało się temu, że dłonie tarty boleśnie. Dotknięcie = syknięcie. Umyte wczoraj przed snem włosy były mokre od potu, palce u stóp z pewnością czerwone, usta spierzchnięte. Możliwe, że nawet nie zapalił porannego papierosa. No, bardzo niekomfortowa sytuacja...

Paweł wracał ASAP. Nagle zatrzymał się, tuż przy ścianie czteropiętrowego bloku, ponieważ poczuł zapach marihuany. Przestał podśpiewywać zakupy, akurat przed końcem refrenu. Z okna na pierwszym piętrze usłyszał desperackie i zachrypnięte krzyki kobiety i mężczyzny. Darli się szybko i głośno, mężczyzna co chwilę podwyższał ton głosu. Paweł spojrzał w kierunku okna, z gwaru rozumiał tylko niektóre przekleństwa i nie widział z chodnika niczego, co działo się wewnątrz. Zwrócił za to uwagę na pomnik – sporego aluminiowego orła o zgeometryzowanych kształtach, który mijał już wielokrotnie. O rozgrzanego ptaka opierał się, ubrany w polo, krótkie spodnie i sandały, Leszek Balcerowicz. Profesor z lubością ocierał się plecami o promieniące porannym światłem, rozgrzane powierzchnie pomnika. W chwili, kiedy dostrzegł Pawła i gestem ręki zachęcił go do podejścia do siebie, mężczyzna z bloku zawył najwyższą z dotychczasowych kurew. Chłopak pod nosem dośpiewał „Masło, ser, rogalik, koniec”, po czym usłyszał, jak o poranku po śmierci Kory na drugim piętrze świnoujskiego „puchatka” mężczyzna spuszcza kobiecie wpierdół. Potem podszedł do znanego ekonomisty, który dał mu krem do rąk.



Po strzeżonych osiedlach grasują dziki

Mateusz Marek

Dziku to była jego ksywka. Wcześniej miał inną – Termos – po ojcu. Bo jak się nawalił, to bardzo długo go trzymało. Takie to było u nich dwojaki – zarazem rodzinne jak i ekonomiczne. Ta nowa była od nazwiska – Dzikowski.

Dziku kiedyś zjarał się i zobaczył niesamowitą prawdę życia. Jego zdaniem mole kuchenne potrafią przeniknąć przez nos do mózgu ofiary, zahipnotyzować ją i żyć w jej ciele przez tę chwilę zanim zdecydują się wylecieć znowu przez nos. Twierdził, że dokładnie właśnie to mu się przydarzyło i to wielokrotnie. Wtedy to podobno człowiek wyprawia najgłupsze rzeczy. Wąty i Szymon Bosek – dwaj najlepsi koledzy Dzika uważali, że to klasyczne pierdololo. I traktowali jako kretyńską wymówkę do tego, co Dziku wyprawiał czasem na mełach.

Tulipan nienawiści do moli kwitł w nim od dwudziestego czwartego roku życia. Wiązało się to z charakterystyczną dietą. Dzikowski zrezygnował ze wszystkich produktów, którymi żywiły się mole. Odpadały kasze, ryże i mąki i tym podobne oraz pochodne. Bał się, że połknie jajka moli i rozwiną się w nim w środku a on sam zostanie inkubatorem zagłady dla ludzkości. I tak łąził za wszystkimi i mendił. Uważajcie na mole, zabijcie te mole, czego to tu lata, tylko nie podchodź i tak dalej. Łąził wszędzie z łapką, z dezodorantem, z zapalniczką, szafki ludziom przeszukiwał w klatce, w bloku, u znajomych w mieszkaniach. I tak strzegł tego osiedla jak umiał przed molami. „No wariat. Może z matą szkodli-

wością, ale jednak jakoś tam pierdolnięty.” Powiedział kiedyś o nim Wąty.

Mole spożywcze były źródłem wielu nieszczęść. To przez nie Dziku zerwał z Martą. Przejęły jego ciało i urządziły sobie dzikie tournée po klubach w okolicy. Mole miały ewidentną słabość do Marty. Sama wyglądała jak mol. Z tymi pastelowo-szarymi włosami, lekko ziemistą skórą pokrytą puszystą warstewką pudru. Mole wiedziały co robią, Dziku nie wiedział do końca co robił, a najmniej z tego wszystkiego umiała zrozumieć Marta. Na szczęście szybkim plaskaczem wybiła Dzikowi mole z głowy i znowu wrócił do siebie. Czego nie można było powiedzieć o Marcie, bo Marta nie wróciła do niego już nigdy.

- Jakie to jest uczucie niby Dziku, że co ci ten mol do nosa włazi i co dalej niby się dzieje? - zapytał kiedyś Szymon Bosek. Zrobił to bardziej z nudów niż z niewiedzy i oczywiście dla tak zwanej beki. Szymon Bosek – ksywka BOSKI miał klasyczną aparycję osiedlowego dresa i równie sprecyzowane zaplecze merytoryczne. Miał też matkę. To bardzo istotne, bo była to MATKA BOSKA. Był dumny z tego żartu i twierdził, że wymyślił go pierwszy.

Historia. Dziku ożywił się, zaczął gestykować, że to trochę swędzi, a potem trochę jakbyś był najebany, ale tak nie do końca, a potem trochę nie pamiętasz, ale słyszysz też jakieś dziwne głosy w głowie, ale z drugiej strony to też jakbyś był w takiej bańce, wszystko pachnie metalem, zmienia się trochę gust muzyczny.

- Gust muzyczny? - dopytał Szymon Bosek.
- No mówię Ci, że jak mi wlał mol do nosa, to potem miałem na spotifaju 16 razy utworzone *Despacito*.

Na Szymonie nie zrobiło to zbyt dużego wrażenia. Prawdę mówiąc w pierwszej kolejności pomyślał, że z moim w nosie kasują Ci się wyświetlenia na spotifaju. *Despacito* to przecież zajebista piosenka. Ale potem zrozumiał, że Dziku słucha przecież jakichś niebotycznych gówien z OFF Festiwalu w Katowicach. Trudno, znają się, „przyjaźń swoje prawa ma”, jak śpiewał Krzysztof Krawczyk, który to z kolei potrafił z godnością połączyć w sobie te dwa przeróżne światy. Świat *Despacito* i OFF Festiwalu.

Jakoś tam którego dnia zdarzyło się to coś czego się Dzik obawiał najbardziej. Wą-

tły i Szymon stanęli w drzwiach jego chaty. Mieli się umówić akurat na jakieś grube lolo, może na partyjkę w PESa, a może po prostu żeby posiedzieć, pogadać, ponarzeć na dziewczyny i na to wszystko.

Zamiast tego przynieśli jednak stoik. Mieli stoik pełen moli spożywczych. Dzik o mało co nie dostał zawału. POJEBAŁO WAS?! Zapytał tak jak się spodziewali. Jego trudy i walka ze złem obudziły rządę. Efekt uboczny. Efekt pożądania zła.

To się albo skończy, albo... Sam nie wiem co – powiedział Boski z totalnym posiadaniem jakiegokolwiek elokwencji w dupie.

Siadaj tam, odpalaj kamerkę i wciągamy – powiedział Wąty. Powiedział tak, usiedli, odkręcił stoik, złapał mola i wciągnął go do nosa. Było JUŻ ZA PÓŹNO...



ROBIMY GŁOŚNIEJ.

Z uwagą obserwujemy nowości na polskiej scenie muzycznej i mamy zamiar pisać teksty, dzięki którym młode zespoły wybrzmia **GŁOŚNIEJ**.

Interesują nas detale, historie ludzi i wartościowa twórczość.

Poznaj nowe zespoły i poczytaj nas na:

www.glosniej.com

Śledź nas też na instagramie [@glosniej](https://www.instagram.com/glosniej)

fama
nadaje

Tak wygląda FAMA!



Obejrzyj relację na:



48. festiwal fama

48th fama festival

świnoujście
16-26 VIII 2018

fama.org.pl
facebook/fama.festiwal

Koncert Finałowy „Hej, czy nie wiecie”

reż.: P. Niczewski,
kier. muz.: T. Lewandowski,
sekcja: Grzeczni Chłopcy,
scenogr.: J. Martyniuk

Amfiteatr
Sobota 25.08
20:30
WSTĘP WOLNY!

